

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV.
Nowowiejska 83 (dom własny) Telefon Nr. 479.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.
Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Rok X. | Kraków, 15 lutego 1913. | Nr. 7.

Nowa wojna na Bałkanach.

(Treść na str. 2).



Treść numeru: Rywalizacya olbrzymów morskich. — Na złotym tronie. — Wystawa „Sztuki“ w Poznaniu. — Katastrofa budowlana. — Pożar fabryki we Lwowie. — Zgon dostojnika kościelnego. — Rzadki wypadek kolejowy. — Uczczenie zasługi. — Zdruzgotany pociąg. — Książę Monaco w Warszawie. — Jubileusz psychiatry i t. d.

OD WYDAWNICTWA!

Po ukończeniu powieści Walerego Przyborowskiego p. t. „Cień“, zamieszczamy w dzisiejszym numerze nacechowaną poetyckim polotem i swojskością nowelę z czasów „boga wojny“ p. t. „Jak w balladzie“, po ukończeniu której w przyszłym numerze, rozpoczniemy bezzwłocznie druk powieści cenionego pisarza **ARTURA GRUSZECKIEGO,** zatytułowaną:

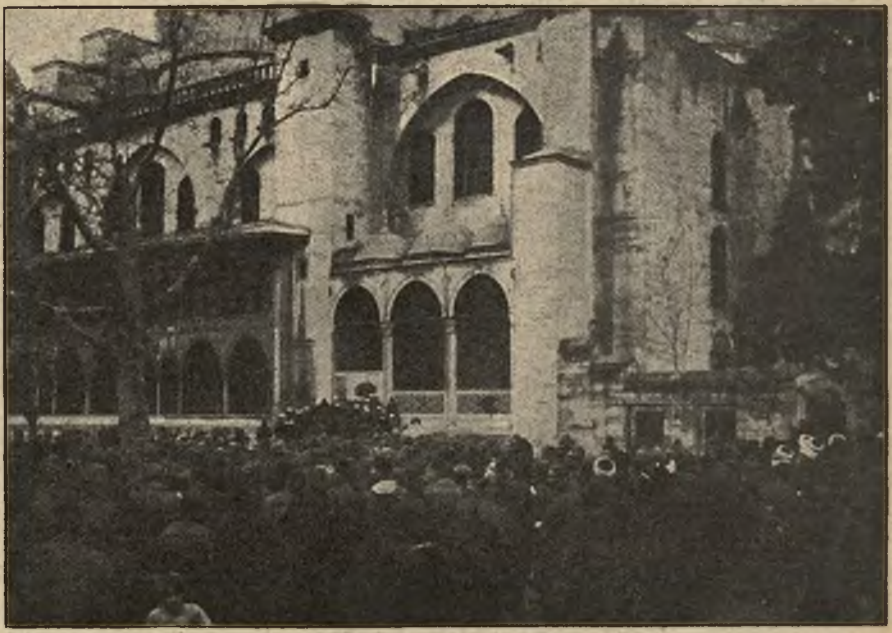
„POD CZERWONYM WIRCHEM“

a rozgrywającą się na tle cudnej przyrody Tatr, w Zakopanem, gdzie ze wszystkich stron Polski gromadzą się ludzie, szukając wywczasu i zdrowia.

Rozmaitość postaci, charakterów, typów, wytwarza nowe formy współżycia i różne zajmujące sytuacye, które autor w tej powieści zużytkował z wielkim talentem i darem obserwacyjnym, stwarzając niezmiernie interesujący obraz życia Zakopanego. Nie ulega też wątpliwości, że ten najnowszy utwór utalentowanego autora, osnuty na tle stosunków naszej letniej stolicy, gdzie zbiegają się nici z całej Polski, wywoła głębsze zainteresowanie wśród naszych Czytelników.



Nowa wojna na Bałkanach: Demonstrancye przed Wysoką Portą po obaleniu rządów Kiamila paszy.



Nowa wojna na Bałkanach: Uroczystość żałobna w meczecie Suleimana na cześć zabitego ministra wojny Nazima paszy.

Nowa wojna na Bałkanach.

(Do illustracyi tytułowej).

Bałkan, który przez kilka tygodni rokowań pokojowych spoczywał, jak lew przed skokiem, znowu rozgorzał płomieniami wystrzałów armatnich i pożogą wojny. Rozbicie rokowań w Londynie stało się hasłem nowej walki, która obecnie wobec fanatycznego wprost roznamiętnienia obu stron zaczyna być jeszcze bardziej krwawą, niż kampania poprzednia. Teren wojny teraz nie jest już tak rozległy, jak przedtem. Wojska tureckie bronią się w trzech twierdzach: Adryanopolu, Skutari i Janinie, oraz na linii Czataldży i Gallipoli.

Pod Adryanopolem, którego bombardowanie pod-



Nowa wojna na Bałkanach: Patrol rumuński na granicy bułgarskiej.



Na złotym tronie: Władca Siamu na tronie ze szczerego złota.

jęto z całą zaciętością, walczą armie bułgarska i serbska. Mimo strasznego ostrzeliwania, które raz po raz wznieca pożary w mieście, dowódzca turecki nie myśli o poddaniu. Przeciwnie, kazał otworzyć sklepy i banki, a nawet kinematograf i oświadczył, że zagrzebie się pod gruzami, a do miasta Bułgarów nie puści. Ostrzeliwanie jednak czyni wielkie szkody w fortach i mieście, tak że twierdza nie długo da się utrzymać.

Pod Skutari stoją wojska czarnogórskie i serbskie posiłkowe.

Oblężenie twierdzy, podjęte w ostatnich dniach z całą energią, przyniosło znaczne sukcesy oblegającym, którzy zdobywszy dwa ważne strategiczne punkty, podsunęli się pod samo miasto.

W Janinie zamknęli się Turcy i bronią się przeciw silnemu oddziałowi wojska greckiego, który przeich ku morzu Adryatyckiemu.

Główna jednak uwaga skierowana jest obecnie na walki, które rozpoczęły się na półwyspie Gallipoli. Turcy skoncentrowali tu znaczne siły, pozostające pod wodzą Enver-baszy i postanowili rozpocząć ofenzywę, chcąc zajść z boku linię obronną Bułgarów na Czataldży i odrzucić ich w ten sposób ku Adryanopolowi. Pierwsze ataki, podjęte przez nich, przyniosły jednak Turkom wielką klęskę, która nietylko zmusiła ich do cofnięcia się ku fortom Dardanellów, ale oddała w posiadanie Bułgarów cały brzeg morza Marmara.

Na linii Czataldży na razie do większych walk nie przyszło. Bułgarzy zwlekają z stanowczym atakiem, czekając na posiłki serbskie, oraz spodziewając się, że Adryanopol za kilka dni się podda, przez co blisko 100 tysięcy wojska będzie można przesunąć na nową linię bojową.

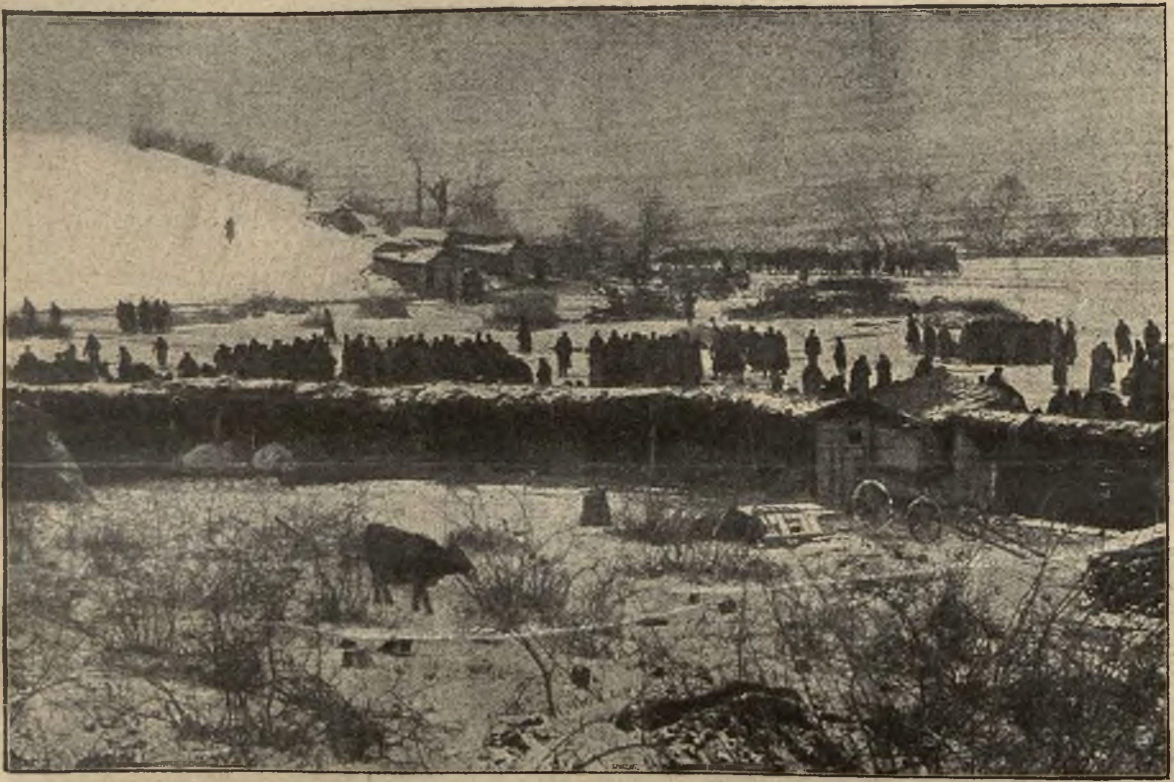
Główną przeszkodą, która uniemożliwia Turkom rozwinięcie odpowiedniej akcyi, jest brak floty morskiej, która mogłaby zmierzyć się z flotą grecką i oczyściwszy morze Egejskie, umożliwiła dowóz posiłków z Mniejszej Azyi. Dotychczasowa akcya floty tureckiej przeciw greckim okrętom zakończyła się klęską.

Wybuch nowej wojny na Bałkanach udaremnił zabiegi pokojowe mocarstw i wywołał nowe zawikłania na horyzoncie polityki europejskiej, który zaciemnia i komplikuje niezałatwiony zatarg rumuńsko-bułgarski. Rumunia, która za swą dotychczasową neutralność zażądała odszkodowania terytoryalnego, obecnie coraz energiczniej domaga się spełnienia swych żądań i coraz groźniej pobrzękuje bronią. Bułgarya nie zdradza jednak tendencyi do ustępstw, co wywołuje w stosunkach rumuńsko-bułgarskich coraz większe naprężenie i grozi nową pożogą wojenną na Bałkanach.

Tytułowa nasza illustracya przedstawia rozpoczęcie kroków wojennych pod Adryanopolem. Prócz tego zamieszczamy w dzisiejszym numerze szereg epizodów z nowej wojny.



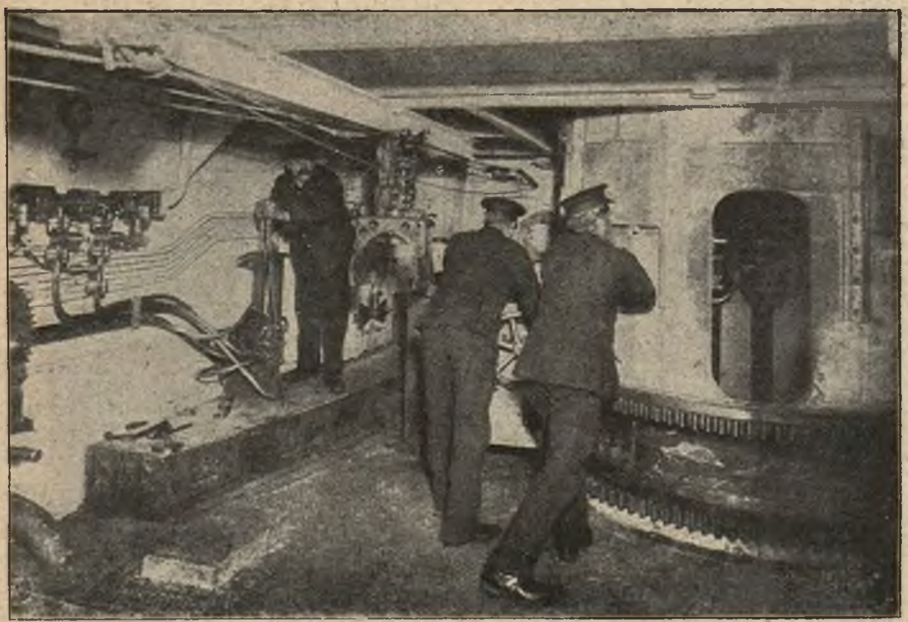
Nowa wojna na Bałkanach: Wykopane w ziemi zimowe kwatery wojsk bułgarskich, oblegających Adryanopol.



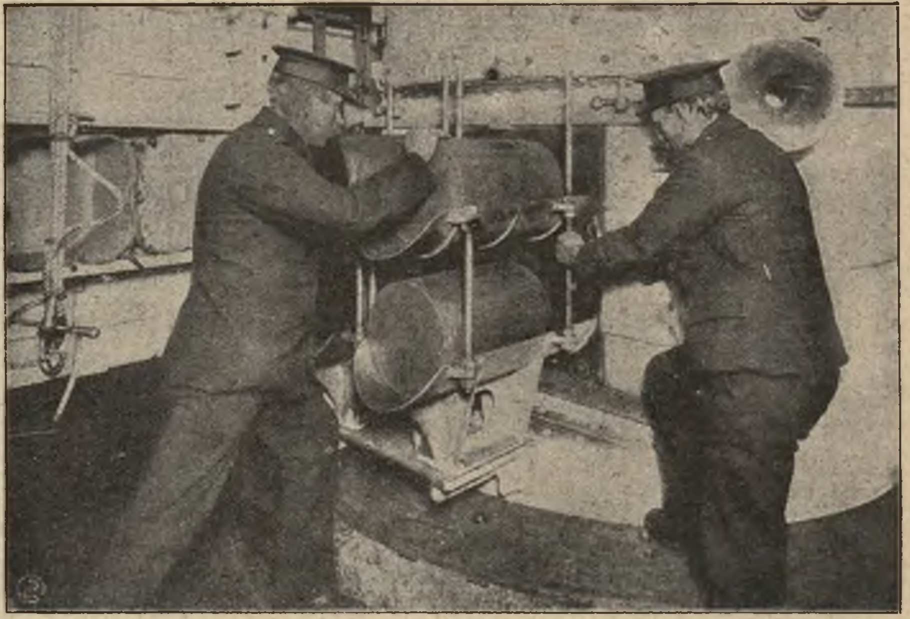
Nowa wojna na Bałkanach: Obóz bułgarski pod Adryanopolem.



Kurs ogrodniczy w Warszawie: Uczestnicy i kierownicy kursu z prezesem warszawskiego Tow. ogrodniczego p. Edmundem Jankowskim w pośrodku.
(Fot. Maryan Fuks, Warszawa).



Rywalizacya olbrzymów morskich: Ustawianie działa na „dreadnoucie" zapomocą prasy hydraulicznej.



Rywalizacya olbrzymów morskich: Windowanie nabojów do dział „dreadnoughta".

Rywalizacya olbrzymów morskich.

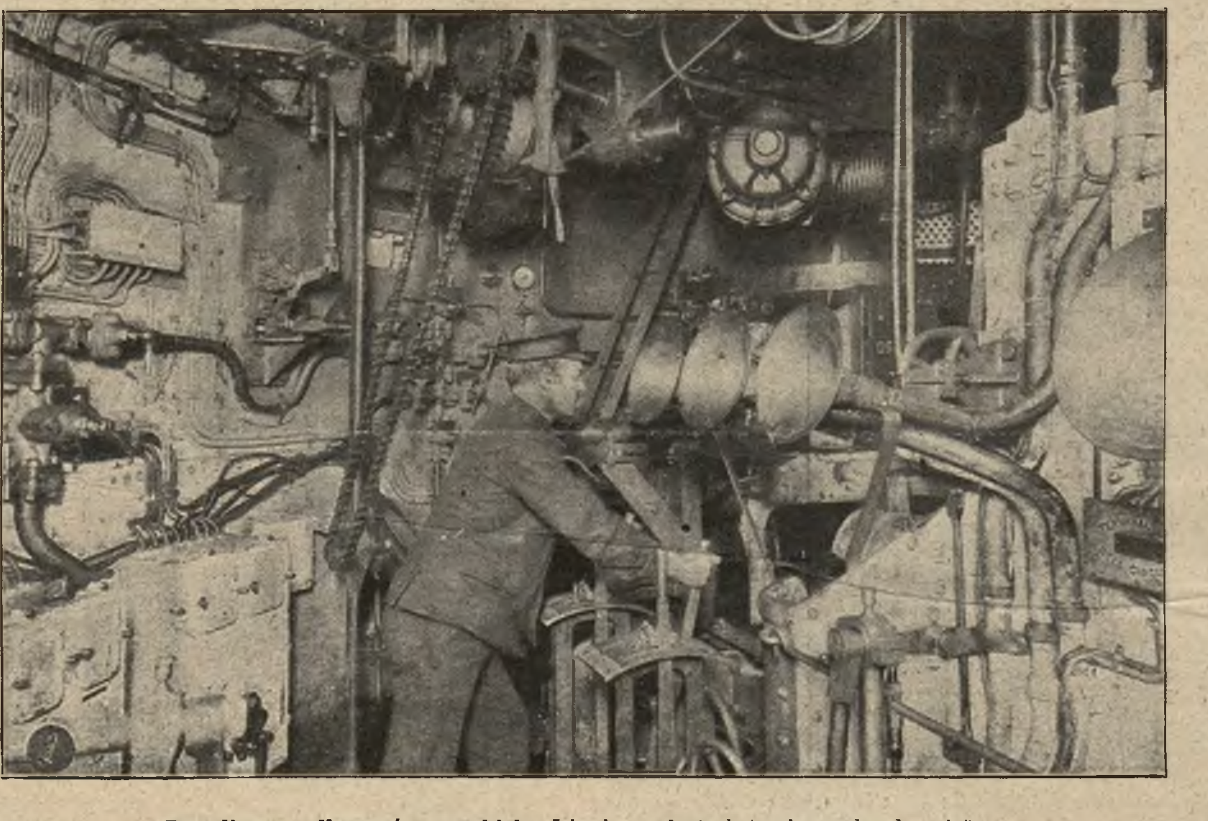
Konkurencya polityczna państw europejskich rozgrywa się dzisiaj na dwu polach, ekonomicznem i militarnem. Zwłaszcza w wielkich rozmiarach zaczyna ona w ostatnich czasach występować na tem drugiem polu. Zbrojny pokój, pod uciskiem którego żyje cała Europa, pochłania miliardy na utrzymanie wojsk lądowych, a jeszcze większe sumy na utrzymanie flot wojennych. Pomysłowość ludzka zdobyła się już na to, że na morzu do walki stają nie małe jakieś okręciki o kilku armatach, ale kolosy olbrzymie, mające dziesiątki armat, korpus żelazny i stalowy i kilka tysięcy ludzi załogi.

Są to pływające miasteczka, z których każdy kosztuje kilkadziesiąt milionów, a które przezwano „dreadnoughtami". Każde państwo większe stara się obecnie zbudować jak najwięcej tych kolosów morskich, od ich siły liczebnej bowiem zależy w wielkiej mierze utrzymanie wpływu na morzach.

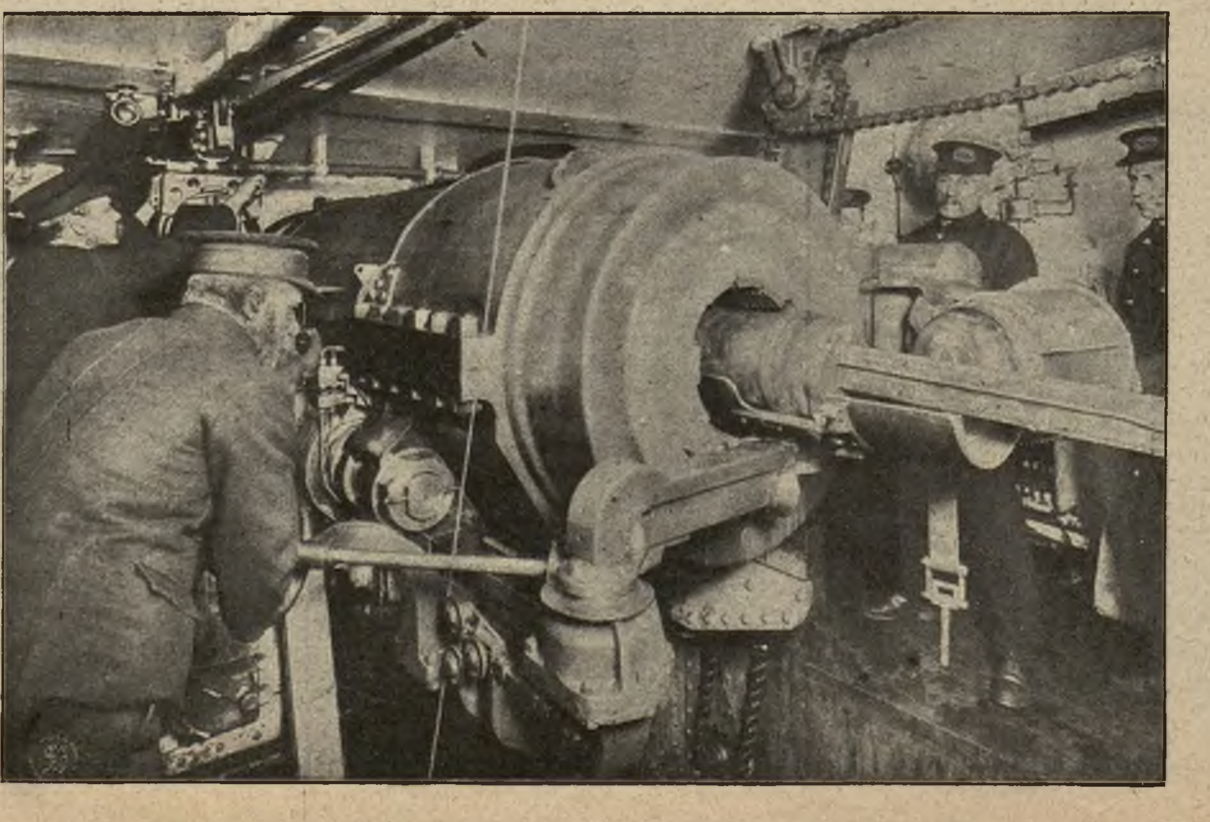
Najzaciętsza rywalizacya na tem polu istnieje między Angią a Niemcami. Oba te państwa, prowadzące rozległą politykę kolonialną, od szeregu lat rywalizują zacięcie na polu powiększania swych flot. Na budowę każdego dreadnoughta niemieckiego odpowiadają Anglicy budową przynajmniej dwóch nowych statków. Rywalizacya obu państw doprowadziła do takiego naprężenia, że powiększanie floty uważane jest za *casus belli* i grozi wojną.

Okręty te są całe zbudowane z grubych blach stalowych. Posiadają olbrzymie armaty, umieszczone w wieżach pancernych. Doniosłość tych armat sięga kilkunastu kilometrów. Załoga takiego kolosa wynosi od 3 do 4 tysięcy ludzi. Ma się rozumieć wewnętrzne urządzenie takiego statku obliczone jest na wielką wytrzymałość i wszystko odbywa się przy pomocy maszyn i popędu elektrycznego.

Illustracye nasze przedstawiają wewnętrzne urządzenia takiego olbrzyma morskiego i dają pojęcie o wielkich jego rozmiarach



Rywalizacya olbrzymów morskich: Izba komendanta bateryi na „dreadnoucie".



Rywalizacya olbrzymów morskich: Olbrzymie działo „dreadnoughta" po wystrzale.

Na złotym tronie.

Przepych Wschodu, jakim bywają otaczani władcy państw indyjskich, przeszedł już w historyę jako przysłowiowy. Ogromne bogactwa, gromadzone tam przez możne rody, pozwalają na to, aby możnowładzcy wschodni nie tylko dorównywali europejskim pod względem roztaczanego przez nich przepychu, ale częstokroć nawet ich przewyższali. Przyczynia się także do tego wiele zamiłowanie wschodnich narodów do występowania zawsze i wszędzie w sposób na zewnątrz efektowny i zwracający uwagę.

Illustracya nasza przedstawia nowego władzcę Siamu, króla Maha Vajiravudh, siedzącego na tronie królewskim, szczerozłotym. Siam jest małem państwem, leżącem między Indochinami a Birmą. Historya jego sięga bardzo zamierzchłych czasów, bo aż pierwszych wieków po nar. Chrystusa. Kraj, zrazu wielki i obszerny, zamieszkały przez Siamczyków, Chińczyków i Malajczyków, przechodził różne koleje, zmieniając kilkakrotnie dynastye panujące. Mieszkańcy Siamu są przeważnie wyznawcami Buddy, przywiązani do licznych guseł i przesądów. Świętem zwierzęciem jest biały słoń, który także z tej racyi umieszczony jest w herbie państwa i pod jego nazwą są ustanowione najwyższe państwowe ordery.

Pod względem ustroju politycznego kraj rządzony jest przez króla, rodzaj rady państwa nie wybieranej jednak, lecz mianowanej oraz przez radę ministrów zwaną senabodź. Obecny król jest bardzo młody. Jest on synem króla Tszau-Fa-Tszula, który panował od r. 1868 aż do r. 1910. Pierwotnie następcą tronu był książę Maha Vajiruschis, kiedy ten jednak umarł, został za radą ministrów mianowany brat jego następcą tronu.

Stosunki polityczne Siamu w ostatnich latach ulegają ciągłe fluktuacyi. Poprzednio silny wpływ Francyi jako najbliższej sąsiadki, został osłabiony kampanią wojenną w r. 1893, którą król Tszau-Fa-Tszula prowadził z Indochinami. Siam stracił wtedy znaczny szmat kraju, gdyż musiał Francyi odstąpić część Siamu na lewym brzegu rzeki Me-kong. To też Siam zwrócił teraz swe sympatye ku Anglii.

Król Vajiravudh wykształcenie swe pobierał w Anglii i jest bardzo zeuropeizowany. Musi jednak stosować się do tradycyjnych zwyczajów swego kraju i występować na zewnątrz nie jako europejczyk, ale jako prawdziwy syn Siamu.

STANISŁAW STWORA.

JAK W BALLADZIE

Z czasów boga wojny.

I

Droga wiła się manowcami.

Wśród zwalisk białego śniegu, zsuwających się z wysokich, poszarpanych brzegów, gęstym borem porosłych, przeciskała się, niby wąż cienki a długi. Gdzieniegdzie zapadała gdzieś zupełnie, zasypana puszystym śniegiem, to znowu na polanach leśnych rozlewała się na znacznej przestrzeni.

Tu i ówdzie obok drogi sączyła się z cichym szmerem maleńka struga wody, aby za chwilę zginąć, potęgą mrozu zniewolona.

A mróz się wzmagał, potężniał.

Bór stał czarny, zamknięty w sobie, milczący. Ni drobny wietrzyk konarami drzew nie ruszył, a z lasu szedł dziwny poszum... pieśń wieczorna boru. Chwilami z głębi dolatywał jakiś straszny trzask i huk, jak czyjeś skargi i jęki, to znowu ujadania psów, a łamanie gałęzi i drzew całych, a za chwilę znów było cicho, cicho aż do strachu.

Grobowa cisza.

Nagle gdzieś z dali odezwały się odgłosy dzwonków, wesoło dźwięczących na najrozmaitszą nutę. Za chwilę rżenie koni przedarło się przez gęstwinę drzew i od jednego drzewa do drugiego leciało setnem echem.

I las się ożywił.

Rżenie koni, przeraźliwy dźwięk dzwonków, u szyi końskich uwieszonych, trzask bicza, hurgot sunących sani, nawoływania woźnicy... od czasu do czasu piosenka huknęła.

Drzewa poczęły chwytać tę dziwną muzykę i w głąb boru ją podawać, skąd wracała zmieniona, łagodniejsza, czystsza.

— Hop! hop! — krzyknął basowy, męski głos z całego gardła, a zewsząd potężnie huknęło echo hop, hop, hop!

— Ale ten bór to mo gardziel, panicku... co? Kieby tu tak muzyckę sprowadzić, coby zagrała obertasa, toby to grało, a hucało!

— Hej! hoop... i znowu echo groźnie odpowiedziało: heej, hop.

Woźnica biczem strzelił raz i drugi, lejce oddał chłopakowi obok siedzącemu i obróciwszy się do wygodnie rozpartego w saniach panicza, zaczął gawędzić:

— Ale się tyż panickowi cnić musiało za nasemi stronami? bo to w tem mieście to ino mury a mury, chałupa przy chałupie; ni tam wiatru, jak u nos, co to grzmi, hucy a piscy, ani lasu... nic...

Andrzej, zmęczony drogą, cały ten czas gadania Macieja na pół drzemał i tylko od czasu do czasu głową potakiwał i mruczał: uhm, tak, tak!

Sanie skakały po tej urwistej drodze, jak piłka, rzucana dla zabawy. Trzeba było silnie trzymać się siedzenia, aby nie wylecieć z sani, jak z procy.

Wieczór zapadał, na niebie poczęły się zapalać coraz to nowe rzesze gwiazd i nie ujechali dobrych kilku stajań, a już całkiem było ciemno, tylko gwiazd masy przyświecały jadącym.

Konie, długą drogą utrudzone, zwalniały biegu, wyrzucając z pysków kłęby pary.

Droga pięła się teraz pod górę, mając po obu stronach bór nieruszany od dziesiątek lat. Chwilami na drogę wychylały się jakieś cienie długie a cienkie, a z głębi odzywał się pomruk...

— Panicku! — rzekł stary Maciej, obracając się znowu i szarpiąc za rękę śpiącego już na dobre Andrzeja — terazby dobrze, gdyby panic tak zmówił zdrowaśkę na szczęśliwą przeprawę przez dyable sidła, żeby też nam ten... potempieniec, nie wymawiając jego imienia, nie wypłatał jakiego figla.

— Oj, tak, tak — odezwał się chłopak, siedzący obok Macieja i zaraz zaczął się żegnać a mruczeć modlitwy...

— Dobrze! dobrze, na pohybel mu — mruczał rozespany Andrzej i w dalszym ciągu zaczął drzemać, z końca w koniec sań rzucany gwałtownymi ruchami zaprzęgu po wyboistej drodze.

Stary Maciej zaś pochylił się trochę i wydobywszy różaniec, szeptał modlitwy coraz żarliwiej, im bliżej było do dyabelskich sideł.

„...Pan z Tobą, błogosławionaś Ty...“ a módlże się Jacek, bo to nie kpinki z zatraceńcem... jaki rów wyrobi, albo sosny podetnie i rób wtedy, co chcesz, a na śmierć się gotuj... a kto nieprzygotowany... to rogatemu profit... wtedy na łańcuch i do Belzebuba... Ej, żeby tylko do Suchodol dociągnęły szkapy, tam i pan starszy będzie nas czekał i Franek z Jaśkiem na koniach, to i raźniej do Huciska dobijemy... byle te sidła minąć... „Błogosławionaś Ty między niewiastami“ mruczał dalej stary woźnica.

A dyable sidła były coraz bliżej... Bór nagle na zakręcie drogi gęstwiał, droga zwężała się i szła na jednej z lasem wysokości.

Drzewa niezwykle grube, ogromne sprawiały w nocy wrażenie; mnóstwo drzew, powalonych starością, czy wichrem, leżało na ziemi, na drogę wystając wierzchołkami, czyniły wrażenie pełzających gadów. Już samo to zmuszało do zwolnienia tempa jazdy, musiano bowiem uważać, aby nie zawadzić o leżące pnie.

Od lat one tu dawnych leżały i nikt ich nie chciał usunąć, bojąc się sprowadzać na siebie złość piekielnej mocy.

Andrzej od dzieciństwa słyszał o tem strasznem miejscu i zawsze starannie unikał tędy nocą przeprawy. Tak czynili wszyscy rozsądni, poco z dyabłem wchodzić w scysye?

Jeżeli już ktoś odważył się nocą tędy przeprawiać, to nie samotnie i w saniach, ale konno w kilku ludzi, należycie uzbrojonych, aby módz sobie z zasadzkami czarta poradzić.

Tym razem obliczył i Andrzej i rodzic jego, że dyable sidła wypadną jeszcze za dnia i dlatego na powracającego ze Lwowa syna na święta Bożego Narodzenia oczekiwał dopiero w Suchodolach.

Andrzej od dzieciństwa był odważnym, a jeszcze bardziej zmężniał na naukach we Lwowie, ale od lat wrodzony jakiś lęk przed tem dyablem miejscem pozostał mu w głębi, choć go skrzętnie starał się ukryć. I teraz przebudziwszy się, przetarł oczy i ze zgrozą spostrzegł na skraju lasu stojącego potwora, wysokości może czterech sążni, dwa ślepia błyszczące miał w niego wlepione. Szedł od nich jakiś blask żółtawy... złowrogi... aż się Andrzejowi zimno zrobiło... Starał się nie patrzeć w tę stronę, potem oczy zamknął, ale nic nie pomagało; wciąż widział te blade, wypłowiałe a jednak błyszczące oczy.

Prawdziwy mróz przejął wszystkie jego członki. Skrzętniej otulił się futrem, czapkę nacisnął na oczy a za głownię pistoletu ujął. W tej chwili konie zaczęły niespokojnie parskać i gwałtownie rzuciły się w bok, sanie zaś całą mocą rozpędu uderzyły o jeden z leżących na drodze pni.

Stanęli.

Andrzej zerwał się z siedzenia, równocześnie zaś Maciej i Jacek zeskoczyli z kozła i gdy jeden starał się przytrzymać rzucające się wciąż konie, drugi opatrywał uprząż.

Stary Maciej starał się skrzesać ognia i zapalić łuczywo, które gdzieś z pod kozła wydobył, a cały czas na przemiany to wymyślał, to pomocy świętych pańskich wzywał, a na Jacka gderał i jemu winę przypisywał.

— Siedzi na koźle a nie patrzy na konie ani na drogę, tylko myśli o Bóg wie czem — stare oczy nie widzą przecie, a tu wisus nie ostrzeże, no i masz teraz robotę po nocy.

Łuczywo zapalone oświeciło zaprząg i teraz dopiero spostrzegli pęknięty jeden z powrozów uprzęży. Stary zaraz zabrał się do roboty i zwijał się jak mógł, bo konie na miejscu ustać nie chciały, tylko wciąż łby ku ziemi zwiesiwszy, rżały jakoś dziwnie, a chrapami niespokojnie węszyły powietrze.

Robota wkrótce była ukończona.

Jeszcze nie zdołano się usadowić, gdy dało się słyszeć przeraźliwe wycie i równocześnie kilkanaście par ślepiów zabłyszczało tuż przy drodze. Konie jak szalone porwały z miejsca, rzucając saniami z jednego końca drogi w drugi.

W pewnej chwili łuczywo zgasło, upadając w kupę śniegu — opodal runął chłopak jakby wysadzony z kozła.

Maciej chciał sanie zatrzymać, ale nie mogło być o tem mowy, konie bowiem pędziły na oślep.

Gromada oczu wilczych zmniejszyła się o kilka par i wkrótce dały się słyszeć coraz cichsze jęki zmięszane z okropnymi rykami rozbestwionych zwierząt - reszta pędziła za saniami.

W takiej sytuacyi nie można nawet było myśleć o pomocy dla nieszczęśliwego.

Konie bite batem, pędzone widmem gromady wilków, gnały, kopytami prawie nie dotykając ziemi. Z chwili na chwilę odległość między uciekającymi a goniącymi powiększała się, bestye zaczęło już zdało się opanowywać zniechęcenie, gdy sanie drugi raz gwałtownie uderzyły o leżące na drodze drzewo, rwąc tym razem całkowicie uprząż.

Nadzieja ucieczki runęła — odprzęgać konie było zapóźno — pozostawało bronić się do upadłego, a potem... śmierć.

Andrzejowi krew ścięła się w żyłach, w oczach stanęły postacie rodziców, rodzeństwa i smukła postać biednej, ślicznej Janki. W tej chwili ogarnęła go rozpaczliwa chęć życia, szalone pragnienie zemsty na tych głupich bestyach, które mu chciały je wydrzeć.

Wydobył pistolet, opatrzył, i w tej chwili pierwsze ślepia ukazały się na drodze. Zmierzył i wypalił, ale chybił — poprawił zaraz stary Maciej i błyszczące oczy zniknęły w śniegu. W tej jednak chwili kilka par się ukazało — huknęły znowu dwa strzały, dwa łby zaryły w śniegu, a reszta z wściekłością dopadała sań.

Jeszcze odezwał się strzał jeden i drugi, jeszcze jedno cielsko runęło w śnieg i walka przemieniła się już w szamotanie się z masą zgłodniałego zwierza.

Andrzej stojąc w saniach rozdzielał razy na prawo i lewo w jednej ręce trzymając za lufę pistolet, w drugiej drąg podany mu przez Macieja.

Ryk bestyi mięszał się z jękiem i strasznie przejmującem rzężeniem, na śmierć skazanych, dogryzanych koni. Ostatnie rżenie wyrwało się z piersi nieszczęśliwych zwierząt i ucichły, a tylko słychać było mlaskanie i trzeszczenie szarpanych wnętrzności.

Andrzejowi krew uderzyła do głowy — zapach krwi, ta beznadziejna walka i widmo śmierci dodawały mu sił. Wiedział, że po koniach przyjdzie kolej na niego i Macieja. Walczył więc z coraz większą zapalczywością; u jego nóg trzy cielska wiły się w śmiertelnych kurczach, a to prawie nie zmniejszało gromady napastników. Czuł, że powoli ręce coraz bardziej mu słabną. Razy rozdzielał już coraz rzadziej i niepewniej, a gromada wilków tem silniej nacierała.

W pewnej chwili uczuł dotkliwy ból w pierściach, potem uczuł ciepło na twarzy, coś zaczęło mu przysłaniać oczy, jakby mgłą.

Przez tę mgłę widział padającego skrwawionego Macieja. Słyszał straszny hałas, krzyki, strzały, potem stracił zupełnie świadomość!

II.

Pan podkomorzy Rzeżycki trojga imion Zygmunt, Maciej, Onufry, był człowiekiem bardzo ambitnym. W młodości kilka lat spędził na dworze Radziwiłła „Panie kochanku“, miecznika litewskiego, a potem wojewody wileńskiego i w niejednej burdzie i najeździe brał udział.

Pamiętał ostatnie lata panowania Augusta trzeciego, a po jego śmierci podczas sejmu konwokacyjnego asystował wojewodzie do Warszawy. W jednej z bitek na Pradze stracił ucho i z mocno nadwyrężonem zdrowiem cofnął się w zacisze domowe.

Zaledwie jednak przyszedł do zdrowia, przystąpił z powrotem do milicyi Radziwiłła i brał udział w jego wyprawie na Litwę, potem razem z nim podążył na Podole, skąd wyparci, przedostali się do Turcyi.

Po kilkunastu latach takiego wałęsania się po świecie wrócił do ojcowizny. W rodzinnej swej wiosce nie zastał nikogo. Rodzice umarli, dwaj bracia młodsi wywędrowali do Gdańska, część majątku, jemu należna, przez nikogo niezagospodarowana, marniała.

Od tej chwili minęło trzydzieści lat z górą, jak się nie ruszał z Huciska. Ożenił się, miał dwoje dzieci i starał się je jak najstaranniej wychować.

Patrząc na cały szereg lat panowania Stanisława Augusta, na ten szereg nieszczęść, spadających niby gromy na nieszczęśliwy kraj, pan Onufry spoważniał i w swym kąciku rodzinnym wytworzył sobie swój nowy pogląd na sprawy kraju.

Kiedy całą Ruś Czerwoną zagarnęła Austrya, pan Onufry widział w tem zrządzenie losu i postanowił też swego syna ustroić w mundur austryacki.

Po ukończeniu szkół prowincyonalnych, Andrzej, wbrew swej woli, został wyprawiony do Lwowa i zapisał się do świeżo założonego liceum na wydział nauk prawniczych. Okazywał wiele zdolności i wielkie w pracach czynił postępy. Drugi już rok spędzał we Lwowie na naukach, a ojciec z niecierpliwością oczekiwał, rychło syn zasiądzie w gubernialnym urzędzie.

Jakież więc straszne było zmartwienie, gdy zobaczył syna zbroczonego krwią, ledwie żywego.

Rannego przywieziono do Suchodol, skąd go absolutnie nie chciano wypuścić, pomimo oporu pana Onufrego, aż Andrzej nie przyszedł jako tako do zdrowia. Od rana do nocy siedziano przy chorym, pielęgnowano go z anielską cierpliwością.

Andrzej powoli przychodził do zdrowia, ale jeszcze nikogo nie rozpoznawał, tylko w gorączce krzyczał i jęczał.

Raz koło chorego siedziała panna Janina, córka

gospodarza domu i wyszywała coś na pluszowej tkaninie. Ojciec Andrzeja na chwilę wyszedł, powierzając chorego pieczy swej chrzestniczki.

Rozkoszne to było dziewczę. Twarz biała z rumieńcami na policzkach, oczy ogromne, błękitne, a włosy jasno-płowe. Seledynowa wełnianka okrywała cudne, spadziste ramiona i wiernie oddawała wdzięczne dziewczęce kształty.

Siedziała na nizkim stołeczku, tuż przy głowie chorego. Na kolanach jej leżało mnóstwo różnokolorowych włóczek, z których ona co chwilę odpowiednią wybierała, nawlekała na grubą igłę i coś z zajęciem wyszywała.

Od czasu do czasu, spoglądała na twarz chorego, aby z twarzy jego wyczytać, czy bardzo jeszcze cierpi, czy czego nie pragnie.

Gdy na jego twarzy ukazał się wyraz bolu, a z piersi dobywał się jęk, to i jej twarz powlekała się wyrazem bolesnego smutku. Wtedy podnosiła się z krzesełka i pochylona nad nim z płaczem pieszczotliwie szeptała:

— Jędrusiu! Jędrusiu — tak od dzieciństwa nazywała swego towarzysza zabaw dziecięcych i z powrotem siadała na swem krzesełku.

Na polu był śliczny ranek. Słońce już dość wysoko świeciło pełnym blaskiem, na jaki je stać w zimie. Kilka promieni słonecznych wpadało przez okno i blaskiem swym oświeciło siedzącą.

W tem świetle igrających promieni jej włosy mieniły się, jak złote.

W tej chwili chory otworzył oczy i wzrok jego padł na Jankę. Usta przybladłe krasił mu uśmiech, oczy zabłyszczały szczęściem. Wargi chorego poruszyły się bezwiednie i wymówiły cichutko:

— Janka...

Siedząca oblała się szkarłatnym rumieńcem, a gdy z niej wzroku nie spuszczał, zawstydzona swym strojem, starała się zakryć swą głęboko odkrytą szyję wyszywaną materyą.

Z kolei spojrzał na broń, której użyła i spostrzegłszy krzyż wyhaftowany, zapytał:

— Co to? — i wzrokiem wskazał na haft.

— To za waćpana zdrowie do kościoła ofiara — odrzekła i jeszcze się mocniej zarumieniła, a łzy zakręciły się w jej oczach.

Andrzej wyciągnął z pod kołdry swą wychudłą rękę i ująwszy jej dłoń, przyłożył do swych rozpalonych ust.

— Janko... dziękuję - zdołał wyszeptać i z powrotem popadł w bezsilność.

Cyrulik, odwiedzający Andrzeja codzień, zapowiedział, że chory za jedną niedzielę będzie mógł wstać z łóżka.

Wprawdzie nie dosłownie za jedną niedzielę, lecz za kilkanaście dni Andrzej tak przyszedł do sił, że mógł chodzić bez uszczerbku na zdrowiu. Otulony ciepło, począł nawet wychodzić na pole i cieszył się, jak dziecko, śniegiem i słońcem, najmniejszą nawet drobnostką. Z Janką spotykał się tylko przy obiedzie i kolacyi, zresztą nie mógł jej nigdzie znaleźć, widocznie kryła się przed nim. Nie mógł tylko zrozumieć dlaczego? I żal a boleść go gryzła, czy jej przypadkiem nie powiedział czego przykrego, ale nie śmiał jej w tej materyi pytać w obecności rodziców.

Wreszcie rekonwalescent całkiem przyszedł do zdrowia, o tyle, że mógł odbyć podróż do domu. Po serdecznem pożegnaniu ze strony rodziców, zaproszeniach a podziękowaniach. Andrzej z ojcem wsiedli do sań i w konnem towarzystwie kilku pachołków ruszyli do Huciska.

Andrzej jeszcze raz smutnem wejrzeniem obrzucił ten dom, w którym przepędził kilka tygodni smutnych a rzewnych i w jednem z okien dworu ujrzał zapłakaną twarzyczkę Janki.

Gdy tylko zobaczyła, że jest widzianą, gwałtownie skoczyła w głąb i skryła się w cieniu. Andrzejowi zrobiło się strasznie smutno, jakby stracił najpiękniejszą część życia.

III.

Nadszedł dzień wigilijny. Od samego rana w Hucisku wrzało. Wszystkich wcześniej niż zazwyczaj pobudzono, robiono bowiem ostatnie przygotowania do wigilii i świąt. Oprócz tego, spodziewano się liczniejszego zjazdu sąsiedztwa, na pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia, z okazyi ślubu córki pana Onufrego, Krystyny, z Józefem Suchorzeckim, obywatelem z Lubelskiego.

Gdy pierwsza gwiazda na niebie zabłysła, cała rodzina zgromadziła się w obszernej jadalni. Zwyczajem staropolskim na stole w sianie leżała podobizna Zbawiciela a cały stół przybrany był zielenią.

Po odmówionej przez panią domu modlitwie, zaczęło się łamanie opłatkiem i składanie życzeń.

Po wieczerzy, Andrzej siedział obok ojca, który się nim pieszczotliwie zajmował, a zagadywał o to i owo, a nawet w dowód łaskawości niezwykłej, wszczął z nim rozmowę „de publicis“.

Było to dowodem, że go uważa już za dojrzałego obywatela, a nie za młodzika. Andrzej, był po trochu dumny z tego, że może w obecności ojca swoje zdanie wypowiedzieć.

Potrawy z roku na rok te same, spożywał Andrzej z apetytem. Więc zupa grzybowa na rybich



Zmierzył, wypalił, ale chybił.

głowach przyprawiona, potem ryby smażone i w galarecie, wreszcie historyczne kluski z makiem. Andrzej zyskał na wesołości, zdrowie mu bowiem dopisywało.

Dzisiaj na pasterce w Ligniowcach, spodziewał się zobaczyć z Janką, więc humoru a fantazyi nie brakło. Zagadywał też wesoło to siostrę, to którego z domowników, dowcipną anegdotkę opowiedział i wszyscy się śmiali do rozpuku.

Pan Onufry, popijając kielich za kielichem, coraz częściej przypijał do syna. W miarę jak w gąsiorkach wina ubywało, z czupryn dymiło się coraz bardziej. Niedługo, a ojciec i syn w pocałunkach a uściskach zaczęli płakać jak bobry, poczem, obaj tak mocno posnęli, że nie sposób było się ich dobudzić o północy. Zaniesiono ich przeto na posłania, gdzie dopiero rankiem się przebudzili.

Pan Onufry bardzo był z tego nierad, do nikogo się nie odzywał a groźnie brwi marszczył. Wstyd mu było, że zaniedbał obowiązku chrześcijanina i nie złożył hołdu Narodzonemu.

— Widział to kto? upić się jak nieboskie stworzenie — mruczał do siebie pan Onufry, przeglądając jeszcze raz przygotowania, poczynione na przyjęcie gości. — Piękny przykład dla Andrzeja, dla służby, a co też ksiądz pleban powie? Trzeba się będzie kłamstwem salwować, wstyd się przyznać do pijaństwa.

Tymczasem kończono przygotowania. Z jadalni, jako największego pokoju, wyniesiono wszystkie sprzęty, stoły zaś zastawiono w kilku pomniejszych pokojach. Oprócz tego urządzono pokoje dla pań i młodzieży, gdzieby na osobności spocząć.

Zaraz z południa zaczęli zjeżdżać goście. Andrzej, w najlepszym humorze, z bólem głowy po wczorajszym poczęstunku, wraz z ojcem witał przyjeżdżających gości.

Obaj ustrojeni byli w kontusze. Pan Onufry miał czarny kontusz z białymi wylotami i złoty pas słucki, syn zaś granatowy z wylotami błękitnego koloru. Andrzej z niecierpliwością wyczekiwał, rychło między przyjeżdżającymi ukażą się sanie Radziejewskich, a w nich jasna główka panny Janci.

I spełniło się pragnienie Andrzeja. Przed ganek zajechały sanie, w parę siwych zaprzężone, a w nich matka i córka.

Panna Janka wyglądała dziś ślicznie, w bielutkim żupaniku atłasowym, białym barankiem lamowanym i w takiegoż koloru kołpaczku.

Andrzej do sań poskoczył, panią matkę w rękę ucałował i z sań wysadził, a potem pannie Jance podał rękę.

Pan Onufry wyloty kontusza w tył odrzucił, wąsa pokręcił, a damom widać bardzo był rad, bo z zadowolenia się uśmiechając mówił:

— Witam! Witam panią sąsiadkę dobrodziejkę w mych nizkich progach. Widać, że mi nieba i tak sprzyjające, kiedy mi takich gości zsyłają — to mówiąc, pani Radziejewskiej ramię podał i na pokoje wprowadził.

Andrzejowi gorąco się zrobiło, nie mógł ani słowa powiedzieć. Męczył się nad wymyśleniem jakiegoś grzecznego konceptu i nie mógł nic wymyśleć.

— Ciekawym bardzo — rzekł wreszcie i nagle przerwał.

— Czego waćpan tak ciekawy?

— Czy też waćpanna choć raz od mego wyjazdu z Suchodol wspominała moje imię.

— Na to pytanie trudno będzie odpowiedzieć, bo zresztą, pewnie, że nieraz wspominaliśmy o tej przygodzie nieszczęśliwej.

— A żalby było pannie Jani, gdybym tak był tam zginął na drodze?...

— Ee! co to waćpan wygaduje. To grzech! a trzeba być na przyszłość ostrożnym, żeby nie robić innym przykrości.

— Ej, jabym się dał jeszcze raz wilkom poszarpać, żeby mię taki anioł, jak waćpanna, pielęgnował...

— Vivat! — huknęło nagle, jak z stu spiżowych armat. Ktoś wzniósł gospodarza zdrowie, powstał ogromny tumult. Wszyscy z kielichami w rękach cisnęli się do pana Onufrego.

Jakiś pospolity szlachcic chwycił Andrzeja za ramię, włożył mu do ręki szklanicę pełną wina i zmusił do wypicia na zdrowie gospodarza domu.

Potem, nie bacząc na jego opór, gwałtownie posadził przy stole, obsadzonym szlachtą-sąsiadami. Gwarno tu było a wesoło.

Szlachta podochociwszy sobie, bawiła się coraz to lepszymi dowcipami. Po kolei poczęli do Andrzeja przypijać, aż się biednemu prawnikowi gorąco robiło, a pot kroplami płynął z czoła. Nagle dano znak — zaczęła się uroczystość zaślubin. Wszystko ruszyło do jadalni. Ten i ów do dna wysączał w przyspieszonem tempie wypełnioną szklanicę i z żalem podnosił się z za stołu.

Pan Onufry młodą parę pobłogosławił, potem zaczął coś mówić, lecz mocno już mając w czubie, rozpłakał się tylko serdecznie i na tem swą mowę, dawno już przygotowaną, skończył.

Cały orszak runął teraz przed dwór. Sanie za saniami zajeżdżały — olbrzymi wąż sunął do Ligniowiec na ślub.

(Dokończenie nastąpi).



Uczczenie zasługi: Ks. Józef Londzin, poseł i przywódca stronnictwa katolicko-narodowego na Śląsku.



Wystawa „Sztuki" w Poznaniu: Obrazy Weissa i rzeźby Dunikowskiego. (Fot. B. Preibisz, Poznań).

Uczczenie zasługi.

Ks. Józef Londzin, profesor gimnazyum polskiego, poseł do Rady państwa i przywódca stronnictwa katolicko-narodowego na Sląsku cieszyńskim, święcił w dniu 2. b. m. pięćdziesięciolecie swych urodzin. Jubilat dzięki nadzwyczajnym przymiotom swego charakteru, niezkazitelnej jego czystości, spiżowej stałości, nieugiętej konsekwacyi, bezwzględnemu zamiłowaniu prawdy, wreszcie dzięki swej wielkiej dla narodowej sprawy ofiarności, cieszy się wśród śląskiego ludu polskiego największą z pośród narodowych działaczy popularnością. Jest przez wszystkich, nawet przez bezwzględnych przeciwników szanowany, przez swoich zaś prawie uwielbiany.

Ks. Londzin urodził się i pierwsze lata swego życia spędził w Zabrzegu, śląskiej wiosce koło Dziedzic położonej. Ojciec jego, nauczyciel ludowy, należał do szeregów pierwszych pionierów odrodzenia śląskiego ludu, był jednym z pierwszych współpracowników twórcy dzisiejszego ruchu narodowego na Sląsku, Pawła Stalmacha.

Sladami ojca poszedł syn. Ukończywszy gimnazyum (niemieckie) w Bielsku, a studya teologiczne w Ołomuńcu, został wyświęcony na kapłana i odrazu zajął wybitne stanowisko wśród śląskiego duchowieństwa. Bez zwłoki zaciągnął się w szeregi nielicznych pracowników społeczno-narodowych i dopomagał dzielnie w pracy około organizacyi „Macierzy szkolnej Księstwa Cieszyńskiego" śp. Pawłowi Stalmachowi i ks. Swieżemu. Wkrótce też został sekretarzem, a później prezesem tej zasłużonej instytucyi, która w tym właśnie czasie utrzymywała swoim kosztem gimnazyum polskie w Cieszynie. Dzięki też głównie jego zabiegom gimnazyum polskie zostało przez rząd upaństwowienie, a „Macierz"



Wystawa „Sztuki" w Poznaniu: Sala z obrazami Weissa, Czajkowskiego, Filipkiewicza, Boznańskiej i Kamockiego. Rzeźby Dunikowskiego (studyum Madonny) i Pugeta (Na Błoniach). (Fot. B. Preibisz, Poznań).

pozbywszy się tego ciężaru, który ją okrągło pół miliona koron kosztował, mogła rozwinąć działalność na polu szkolnictwa ludowego.

Po śmierci ks- Swieżego (w r. 1902) przywództwo stronnictwa katolicko-narodowego przypadło ks. Londzinowi, który też niezmordowanie zwiedza wieś za wsią, urządzając wszędzie wiece, zebrania i pogadanki, krzepiąc ducha narodowego, zachęcając do organizacyi różnego rodzaju instytucyi oświatowych, społecznych i gospodarczych, oraz do wytrwałej samoobrony przed zachłannością niemiecką. Równocześnie wydaje i redaguje najstarsze i najpoczytniejsze na Sląsku polskie pismo: „Gwiazdkę Cieszyńską“, dwa razy w tygodniu wychodzącą, w której mężnie i skutecznie broni praw polskiego ludu.

To też przy pierwszych wyborach powszechnych w r 1907 wbrew usilnej agitacyi Niemców i renegatów zdobywa mandat z powiatu bielskiego ogromną większością. Ponownie ci sami wyborcy obdarzają go mandatem w. r. 1911. W parlamencie rozwinął bardzo skuteczną dla polskiego ludu działalność, a jego mowy o położeniu Polaków na Sląsku, krytykujące ostro i śmiało system germanizacyjny rządu śląskiego i ucisk ludności przez komorę arcyksiążęcą pogłębiły jeszcze jego popularność wśród ludu, wśród hakaty niemieckiej zaś zjednały mu śmiertelną nienawiść.

Wspomnieć też trzeba, że ks. Londzin napisał kilka rozpraw naukowych n. p. „Kilka druków śląsko-polskich z zeszłego i pierwszej połowy bieżącego stulecia“, „Stan szkół ludowych w Księstwie Cieszyńskiem na początku XIX-go stulecia“, „Zaprowadzenie języka polskiego w szkołach ludowych na Sląsku“, „Bibliografia druków polskich w Księstwie Cieszyńskiem od r. 1716 do r. 1904“ i inne.

Z okazyi jubileuszu ludność polska ze Sląska pospieszyła licznie z życzeniami dla swego przywódcy. W jego mieszkaniu pojawiły się deputacye polskiego obywatelstwa i wiele osób prywatnych. Jubileusz zasłużonego Obywatela-działacza-patryoty, uczciła też stosownie prasa polska, do której i my się przyłączamy życząc Jubilatowi: Ad multos annos!





Pożar fabryki we Lwowie: Wnętrze hali maszyn po pożarze. (Fot. M. Münz, Lwów).

Wystawa „Sztuki“ w Poznaniu.

Prawie równocześnie z krakowską wystawą „Sztuki“, Wydział Tow. artystów polskich „Sztuka“ otworzył drugą swoją wystawę w Poznaniu, w salonie tamtejszego stowarzyszenia artystów. Po grudniowej wystawie warszawskiej, przed wielką wystawą w Berlinie, a przy równoczesnej wystawie w Krakowie (styczeń—luty), wystawa poznańska staje przed nami w szczególniejszem oświetleniu, gdyż jak z jednej strony jest wymownem świadectwem ruchliwości obecnego zarządu „Sztuki“, tak z drugiej wykazuje siłę i żywotność tego najstarszego zrzeszenia polskich artystów, które przy małej stosunkowo ilości swych członków, potrafi stworzyć



Wystawa „Sztuki“ w Poznaniu: Witraż Maszkowskiego, rzeźba Dunikowskiego, (studyum Chrystusa) i akwaforty Mehoffera. (Fot. B. Preibisz, Poznań).



Nowa wojna na Bałkanach: Twórcy zamachu stanu w Turcyi, nowy wielki wezyr Mahmud Szefket pasza, Enver bej i Izzet pasza.

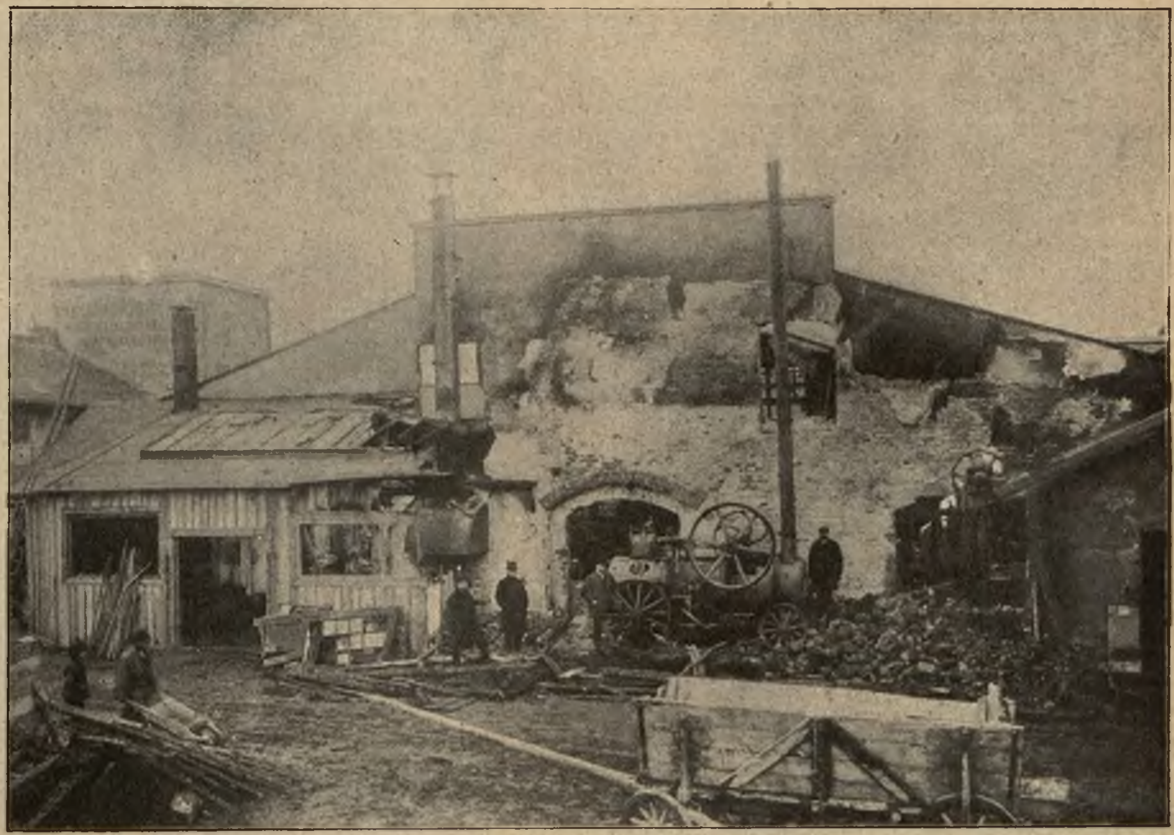
równocześnie dwie wystawy i utrzymać w pełni swoje chlubne tradycye. Wystawę poznańską bowiem cechuje ten sam utrwalony wysoki poziom artystyczny, jaki nosiły wszystkie dotychczasowe wystawy „Sztuki“.

Wystawę w stolicy wielkopolskiej urządziła „Sztuka“ na zaproszenie poznańskiego Tow. przyjaciół sztuk pięknych, które chcąc najskuteczniej pracować nad pogłębieniem wyrobienia artystycznego w Księstwie, starało się wejść w bliższe stosunki ze „Sztuką“, aby przez to zapewnić sobie trwały kontakt z najwybitniejszymi polskimi artystami. „Sztuka“ przyjęła to wezwanie jako obowiązek obywatelski pełnienia swej kulturalnej misyi przedewszystkiem wśród swoich, a chociaż skromnie określiła swoją wystawę w Poznaniu tylko jako przesłankę do nawiązania trwałych stosunków na przyszłość, to jednak wniosła do Poznania prawdziwą wystawę sztuki, w pełnem słowa znaczeniu, ilościowo bardzo bogatą, a jakościowo odpowiadającą pojęciu: wystawa „Sztuki“.

Poznańska wystawa, druga z rzędu urządzana przez „Sztukę“ w tem mieście (pierwsza była w r. 1909), obejmuje malarstwo i rzeźbę. W długim szeregu obrazów występuje tu Weiss Wojciech ze swoją kollekcyą, przykuwającą uwagę, są świetne portrety Boznańskiej, są krajobrazy głośnego dziś pejzażysty Kamockiego, wyborne akwaforty Mehoffera, uznana „martwa natura“ Filipkiewicza, jest wytworny Axentowicz, jest dekorator kilkunastu już kościołów Galicyi Maszkowski, jest niepokojący kolorytem Gwozdecki, a kompozycyą Niesiołowski, iest piękny zbiór interesujących pejzaży i studyów: Czajkowskiego St., Machalskiego, Nowakowskiego, Renitkiewicza, Rubczaka i Wyrwińskiego.

Rzeźbę reprezentuje trzech twórców. Występuje tu Puget Ludwik ze swoją subtelną figurką „Na błoniach“, są prace Nadelmanna, świadczące o poważnych poszukiwaniach, są wreszcie prace Dunikowskiego, jego studya portretowe, oraz studya Madonny, potężne koncepcye, wystawiane swego czasu w Krakowie.

Zdjęcia z wystawy poznańskiej, które zamieszczamy w dzisiejszym numerze „Nowości illustrowanych“, wybornie reprodukują zarówno poszczególne dzieła, jak i ilustrują malowniczość całej wystawy i harmonijne jej zestawienie.



Pożar fabryki we Lwowie: Widok spalonej fabryki Sosnowskiego i Zachariewicza.
(Fot. Biuro zdjęć fot. Lwów).

Pożar fabryki we Lwowie.

Przed kilku dniami nad Lwowem zajaśniała wielka łuna pożaru, która zaalarmowała całe miasto. Płomienie ogarnęły duży budynek, stojący przy ulicy „Na Błonie“, w którym mieści się fabryka konstrukcyi żelazo-betonowych firmy Sosnowski i Zachariewicz.

Pożar wybuchł w szopie drewnianej, dobudowanej do głównego budynku fabryki, w której mieściła się lokomobila, opalana ropą. Po zgaszeniu ognia w piecu lokomobili o godzinie 7 wieczór popiół wyrzucono pod piec. Prawdopodobnie popiół był gorący i od niego zajęła się ścianka drewniana budy, która natychmiast stanęła w płomieniach. Z dachu budy ogień przerzucił się na budynek fabryczny, który był wprawdzie murowany, ale przepierzenia i wiązania strychowe były drewniane i kryte papą.

Kiedy straż pożarna przybyła na miejsce, cała fabryka stała w płomieniach, tak że o ratowaniu budynku nie mogło być mowy. Ratowano więc tylko sąsiednie kamienice, fabryka zaś spaliła się doszczętnie. Cała hala z urządzeniem została zupełnie zniszczona, a szkoda wynosi blisko $^1/_2$ mil. kor.

Illustracye nasze przedstawiają widoki spalonej fabryki.

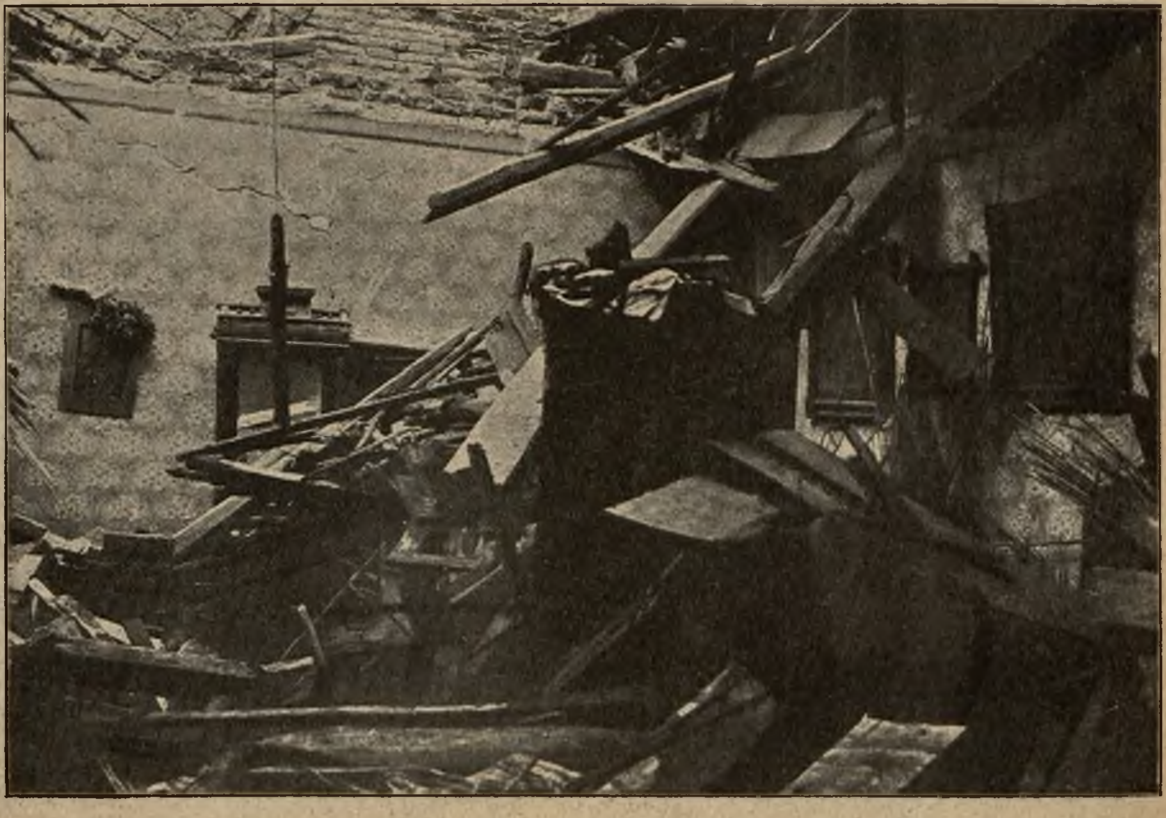


Katastrofa budowlana: Zawalony dach w domu przy ul. Żółkiewskiej we Lwowie.
(Fot. M. Münz, Lwów).

Katastrofa budowlana.

Niezwykły pośpiech, z jakim wznoszone są obecnie domy, w większych miastach wyrastające jak grzyby po deszczu, jest niewątpliwie jedną z przyczyn tak często zdarzających się obecnie katastrof budowlanych. Pod tym względem zdobył szczególną „sławę“ Lwów, a zwłaszcza Żółkiewskie, od kilku lat dostarczające obfitego materyału kronikom katastrof. Przed kilku laty zawalenie się budynku w tej dzielnicy pochłonęło kilka ofiar w ludziach. W tych dniach runął znowu dom niedawno wybudowany przy ul. Żółkiewskiej l. 74.

Cała ściana zwaliła się na sąsiedni parterowy



Katastrofa budowlana: Wnętrze zawalonego domu przy ul. Żółkiewskiej we Lwowie.
(Fot. M. Münz, Lwów).

domek, załamała dach, grzebiąc pod gruzami osiem osób, mianowicie całą rodzinę Jana Bodeka.

Zasypanym pospieszono natychmiast z ratunkiem, a gdy wydobyto ich z pod gruzów, okazało się, że cała rodzina odniosła mniej lub więcej ciężkie rany, ale na szczęście nikt nie zginął.

Cały domek parterowy został delożowany, a rodzinę Bodeka umieszczono w szpitalu.

Illustracye nasze przedstawiają widoki zawalonego domu i izbę Bodeków.



Zgon dostojnika kościelnego: Pogrzeb arcybiskupa Wiednia, ks. kardynała Nagla. (X) Arcybiskup Pragi, ks. kardynał Skrbensky.



Zgon dostojnika kościelnego: Zmarły arcybiskup Wiednia, ś. p. ks. kardynał Nagl.

Zgon dostojnika kościelnego.

Kler austryacki poniósł poważną stratę. Przed kilku dniami zmarł po krótkiej chorobie arcybiskup Wiednia, kardynał dr. Nagl. Pełny energii, o szerokim horyzoncie umysł, uzyskał wysokie dostojeństwa kościelne dzięki swej niezmordowanej pracy, z jaką swoje obowiązki kapłańskie sprawował.

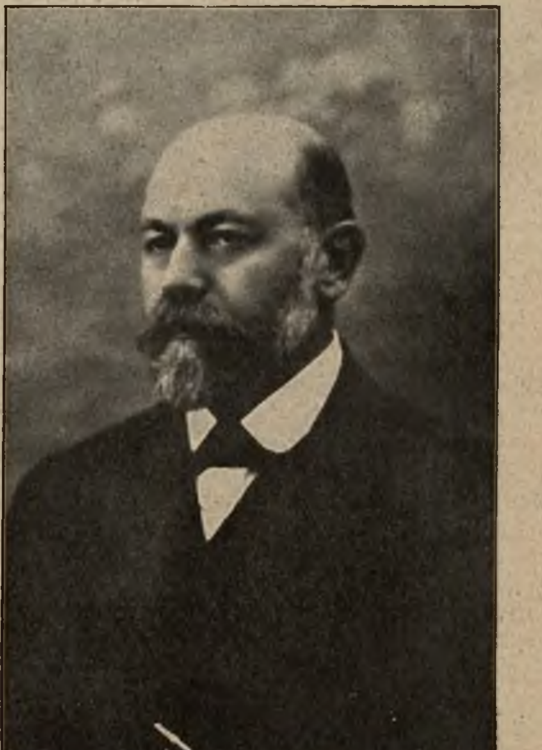
Urodzony w Wiedniu w r. 1855, ukończył studya teologiczne w St. Pölten. Wyświęcony na kapłana w r. 1878, poświęcił się dalszym studyom i w r. 1882 uzyskał stopień doktora teologii. Przez pewien czas był kapelanem nadwornym, a następnie rektorem instytutu Santa-Maria dell' Anima Teutonicorum w Rzymie. W r. 1902 został wyświęcony na biskupa i otrzymał dyecezyę tryesteńską. Na tem stanowisku pracował osiem lat aż do r. 1910, kiedy został powołany jako koadjutor kardynała dr. Gruschy do Wiednia. Po śmierci tegoż został arcybiskupem Wiednia.

Na stanowisku tem położył wielkie zasługi około rozwoju stosunków kościelnych austryackich. Wielką jego zasługą jest urządzenie kongresu eucharystycznego w Wiedniu. Kongres ten, który się odbył przeszłego roku, był wielką manifestacyą świata katolickiego na rzecz Kościoła. To też pogrzeb jego był poważną manifestacyą świata katolickiego. Kondukt prowadził w licznem gronie duchowieństwa ks. kardynał Skrbensky, arcybiskup Pragi. Zwłoki złożono na wieczny spoczynek w tumie św. Szczepana w kaplicy św. Barbary.

Ilustracya nasza przedstawia kondukt pogrzebowy.

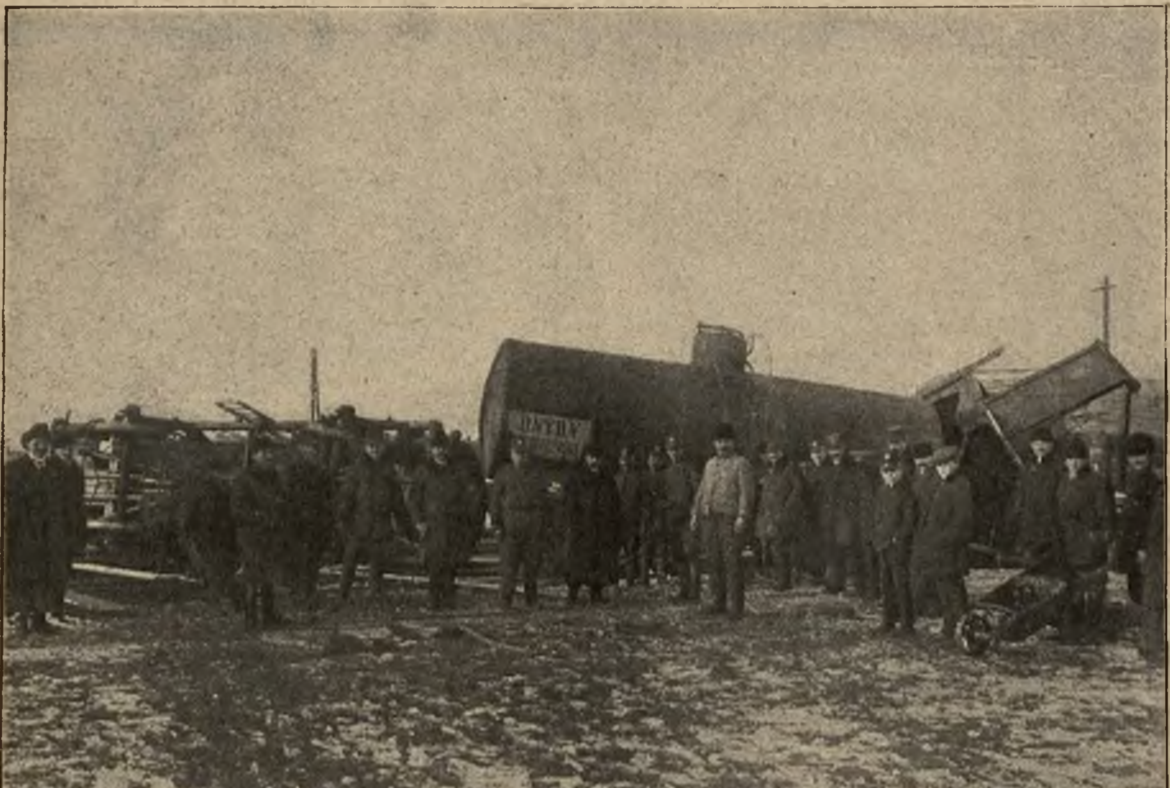
Jubileusz psychiatry.

Dr. Władysław Kohlberger, dyrektor zakładów dla obłąkanych w Kulparkowie, obchodził ubiegłego tygodnia jubileusz pracy psychiatrycznej, której od ćwierć wieku się oddaje. Jubilat liczy obecnie 56 lat. Studya medyczne odbywał w Krakowie, poczem uzupełniał je za granicą, a po powrocie do kraju pracował w szpitalu krakowskim, a następnie w zakładzie obłąkanych. Głęboką wiedzą zawodową i osobistemi zaletami zyskał tu dr. Kohlberger powszechne uznanie i szacunek. Pracować przez tak długie lata wśród najbardziej upośledzonych jednostek w naszem społeczeństwie, wystarczy zupełnie, aby zyskać miano zasłużonego i pożytecznego obywatela. Takim był właśnie dr. Kohlberger. Obok codziennych zajęć, sumiennego wykonywania obowiązków i prawdziwie ojcowskiej opieki nad chorymi, umiał dr. Kohlberger zyskać dość czasu na prace naukowe i pogłębianie wiedzy z dziedziny psychiatrycznej. Oprócz szeregu rozpraw w pismach fachowych wydał podręcznik psychiatryi, żywo też interesował się rozwojem zakładu kulparkowskiego i czynił starania o powiększenie tego zakładu krajowego z pomyślnym skutkiem. Jego inicyatywie zawdzięcza kraj powstanie drugiego zakładu obłąkanych w Kulparkowie.



Jubileusz psychiatry: Dr. Władysław Kohlberger, dyrektor zakładu dla obłąkanych w Kulparkowie.

Uroczystość jubileuszowa odbyła się skromnie w murach zakładu. Składali mu serdeczne życzenia lekarze zakładów, urzędnicy, służba, a z ramienia Wydziału krajowego wzięli w uroczystości udział szef departamentu sanitarnego dr. Szymon Bernadzikowski, oraz lekarze dr. Müller i dr. Lipski. Z okazyi jubileuszu urządzono chorym, przebywającym w zakładzie, stosowną zabawę, podczas której urządzili chorzy jubilatowi owacyę. Biedacy ci mogą mieć istotnie najwięcej wdzięczności dla pracy jubilata.



Rzadki wypadek kolejowy: Przewrócone wagony na stacyi Sambor.

LEON SAZIE.

ZIGOMAR

STRASZLIWY BANDYTA.

29

Paulin Broquet wyjął latarkę elektryczną i przy jej świetle przyjrzał się drzwiom, wskazanym przez Felana oraz sąsiednim. Nawiasem mówiąc, wiedział doskonale, które drzwi prowadzą do mieszkania hrabiny.

— Więc jesteś pewny — zapytał jeszcze raz — że te drzwi z prawej strony?

— Tak jest, panie szefie.

— Dobrze, zobaczymy. Otworzymy je. Nie znasz jeszcze, mój chłopcze, mojego sposobu otwierania drzwi, zwłaszcza, gdy chodzi o specyalne angielskie zamki. Masz teraz dobrą sposobność — to ci się może przydać. Zbliż się.

Ale Felan zdawał się nie być wcale ciekawym. Podczas gdy detektyw wyjmował z kieszeni przyrządy, cofnął się o parę kroków, jakby chcąc zejść ze schodów. Paulin Broquet zatrzymał go.

— Chodźże tu bliżej? Gdzie idziesz?

— Zdawało mi się, panie szefie, że ktoś idzie po schodach, chciałem sprawdzić.

— Ależ nie, nic nie słychać, zdawało ci się.

Wziął Felana za rękę i postawił go koło drzwi. Felan opierał się i zdradzał wyraźną chęć ucieczki. Detektyw skierował promień lampki na jego twarz. Felan był blady, jak płótno, rozszerzone oczy i szczękanie zębami świadczyły o silnym przestrachu.

— Co ci jest, mój chłopcze? — zapytał z uśmiechem Paulin Broquet. Jesteś wzruszony... Boisz się? Uważałem cię za odważniejszego. Nie masz się czego obawiać, jestem przy tobie.

Trzymał go mocno za rękę.

— Zresztą — ciągnął — mamy szczęście, drzwi nie są zamknięte, otworzą się, gdy się je pchnie. No, wejdź.

Jnonocześnie zawiesił latarkę na guziku kamizelki, żeby mieć wolne ręce i w prawą ujął rewolwer.

— Wejdź! — powtórzył ostrym tonem.

Felan jeszcze raz spróbował ucieczki, ale detektyw trzymał go mocno. Zrozumiał teraz, że szef wie o wszystkiem i przyprowadził go tu, żeby ukarać. Padł na kolana, błagając.

— Przebaczenia, panie szefie! Przebaczenia!

— Nędzny, podły tchórzu! — rzekł spokojnie Paulin Broquet. — Oddawna szukałem dowodu twej zdrady — mam go teraz.

— Litości!

— Litości? Ba! ty nawet nie masz duszy bandyty. Nie godzien jesteś być w bandzie Zigomara. Jego ludzie są odważni. A ty jesteś szmata!

— Błagam pana, panie szefie.

— Wiem, co jest za temi drzwiami — straszliwy przyrząd, maszyna dyabelska — a więc czekała mnie tam pewna śmierć. I ty to przygotowałeś.

— Nie, panie szefie...

— Widziałem! I teraz bez wahania przyprowadziłeś mnie na śmierć!

— Łaski! Łaski!

— Nie! Miej przynajmniej odwagę odpokutować za swe winy. Ja cię tylko skazuję, wykonawcą wyroku jest Zigomar.

Podniósł Felana za kołnierz w górę, rozbujał jego ciało i rzucił z całej siły w drzwi. Felan wydał przeraźliwy okrzyk, drzwi pod ciężarem ciała otworzyły się i nędznik znikł w płomieniach. Z drzwiami umieszczony był gumowy balon z eteren połączony z elektrycznymi przewodnikami.

Przy otworzeniu drzwi eter zapalił się.

Piekielny wynalazek Zigomara posłużył do ukarania zdrajcy. Gdy straż ogniowa ugasiła pożar, znaleziono zwłoki Felana zupełnie zwęglone.

Hrabina Wassowia znikła z Paryża.

Paulin Broquet pokazał Zigomarowi, że potrafi walczyć na ostre, że nie daruje żadnego zamachu na swych ludzi.

— Tym razem — powiedział detektyw do Gabryela — chyba nikt nie będzie się śmiał z Paulina Broqueta. Ale jednocześnie, nie bez niepokoju — zapytywał sam siebie:

— Jaka teraz będzie zemsta Zigomara?

Przez kilkanaście dni była cisza. Ale Paulin Broquet i jego ludzie nie spoczywali. Prowadzili dalej swą pracę, śledząc przeciwników i otaczając opieką swych protegowanych. Detektyw specyalnie gorliwie zajmował się panią Garitza. Ajenci zagraniczni dali znać, że plany nowej armaty Rimaitho przesłano do Berlina. Paulin Broquet wiedział, że Zigomar wkrótce dowie się, iż plany te są bez znaczenia. Wówczas los pani Garitzy będzie straszny. Ale biedna kobieta działała w dobrej wierze. Zigomar sprawdzi to, o ile sam zechce zakraść się do mieszkania pułkownika i nie znajdzie tam innych planów.

Paulin Broquet liczył na to, że wszystkie usiłowania Zigomara w celu zawładnięcia planami nowej armaty, spełzną na niczem.

ROZDZIAŁ XX.

Pewnego poranku, pan Rhamard, szef bezpieczeństwa wezwał do siebie Paulin Broquet.

— Drogi panie Broquet, czy może mi pan poświęcić dwie godziny czasu?

— I owszem, panie szefie. Jestem do rozporządzenia. O co chodzi?

— Specyalna komisya ma dziś sprawdzić całość zapasów złota, przechowywanego w piwnicach Banku Francuskiego. Jestto — jak pan się zapewne domyśla — czysta formalność, jednakże prawo wymaga, żeby byli przy tem obecni prefekt policyi, szef bezpieczeństwa i ich główni pomocnicy. Jeżeli więc ma pan czas, to zabiorę pana ze sobą.

Z przyjemnością panie szefie, poznam te sławne piwnice, do których tak trudno się dostać.

Paulin Broquet zabrał też ze sobą Gabryela.

Po dopełnieniu formalności i sprawdzeniu tożsamości obecnych, komisya udała się do piwnic. Żeby się do nich dostać, trzeba przejść przez długie korytarze pilnie strzeżone, otworzyć cały szereg drzwi o specyalnych sekretnych zamkach, których tajemnice zna tylko dyrektor banku i dowódca straży. W piwnicy szeregiem stały drewniane o żelaznych obręczach beczki, każda zawierała milion franków w złocie. Każda beczka była opatrzona numerem porządkowym, pieczęciami lakowemi i pieczątkami z datą, oznaczająca dnie kontroli. Prawo wymagało sprawdzania zawartości wszystkich beczek, ale to wymagałoby całych miesięcy pracy. Komisya więc zadawalała się sprawdzeniem, czy zamki i pieczęcie są w porządku i kontrolą trzech beczek w różnych miejscach piwnicy.

— I to wystarcza? — zapytał Paulin Broquet.

— Tak — odparł szef bezpieczeństwa. — Te trzy beczki wybiera się na chybił trafił, więc taka próba jest wystarczająca.

— Przepraszam, panie szefie — mnie się zdaje, że przeciwnie, to nie powinno wystarczyć.

Pan Rhamard zaczął się śmiać.

— Rzeczywiście! Ale pańskie przypuszczenie jest paradoksem. Kradzież jest niemożliwa.

— Wszystko jest możliwe.

— Tutaj! przy takich zabezpieczeniach, przy takiej warcie!

— Tak, nie przeczę, wszystko to jest dosyć dobrze urządzone, ale złoto kusi.

— Drogi panie Broquet, byłoby szaleństwem próbować tu kradzieży.

Paulin Broquet nie odpowiedział nic więcej. Rozglądał się natomiast bacznie na wszystkie strony. Dyrektor wskazał jedną z beczek. Otworzono ją i poczęto sprawdzać wagę worków ze złotem. Paulin Broquet wówczas, pod pozorem, iż ta kontrola nie zajmuje go, zabrał ze sobą Gabryela i zagłębił się w galerye piwnicy. Od czasu do czasu zatrzymywał się, patrzył na kompas, zastanawiał się nad czemś i szedł dalej. Nagle zatrzymał się przy jednej z beczek. Pochylił się, obejrzał pieczęcie przez lupę, poczem nic nie mówiąc, powrócił do komisyi, która właśnie rozpoczynała sprawdzanie drugiej beczki. Tym razem detektyw przyglądał się czynnościom komisyi z wielkiem zainteresowaniem. Wreszcie zwrócił się do szefa bezpieczeństwa!

— Panie szefie — rzekł — jeżeli sprawdza się te beczki na chybił trafił, czy nie mógłby pan poprosić dyrektora, żeby sprawdził tę beczkę, którą pan mu wskażę?

— W jakim celu, panie Broquet?

— Niech pan to uważa za moją fantazyę.

Szef bezpieczeństwa powtórzył życzenie detektywa dyrektorowi. Ten naradził się z komisyą. Wszyscy obecni spojrzeli na Paulin'a Broquet'a z ironicznym uśmiechem. Znali jego manię, wiedzieli, że ten człowiek zawsze chce znaleźć coś nadzwyczajnego. Ale w końcu komisya zgodziła się na propozycyę, aby po sprawdzeniu trzech, wskazanych przez dyrektora beczek, otworzyć jeszcze czwartą. Gdy zawartość trzeciej beczki została zważoną, dyrektor zwrócił się do p. Rhamard'a i Broquet'a.

— Teraz zechcą panowie wskazać nam swą beczkę.

Paulin Broquet zaprowadził komisyę w korytarz piwnicy, gdzie stała beczka, którą przed chwilą oglądał. Instynktownie członkowie komisyi poczęli rozglądać się na wszystkie strony, badając wzrokiem ściany, sufit, podłogę, wreszcie stojące rzędem beczki.

— Któraż to beczka? — zapytał dyrektor.

— Zanim ją wskażę — odparł Paulin Broquet — chciałbym się spytać, czy która z tych beczek była już kiedy sprawdzana?

— Naturalnie i to można poznać bardzo łatwo po specyalnych pieczątkach. Jeśli mnie pamięć nie myli, to podczas ostatniej rewizyi byliśmy właśnie w tej części piwnicy.

Dyrektor nachylił się nad jedną z beczek i dodał.

— Ta oto beczka była sprawdzana.

— Właśnie o tę samą beczkę mi chodzi — odparł Paulin Broquet.

Wszyscy spojrzeli po sobie.

— Chce pan, żeby otworzono tę beczkę?

— O ile to jest możliwem...

— Ale dlaczego? Dlaczego tę właśnie? Co pana do tego skłania?

— O, drobnostka, panie dyrektorze, drobny szczegół, który odkryłem przez lupę.

Członkowie komisyi pochylili się nad beczką, oglądając na wszystkie strony.

— Wszystko jest w porządku — rzekł dyrektor — zamki, pieczęcie.

— Istotnie — rzekł Paulin Broquet — są tam jednak drobne niedokładności, które odkryłem przez lupę, a które skłaniają mnie do powtórzenia mej prośby o otworzenie tej beczki.

Dyrektor zdawał się być podrażniony tym uporem, jednak po namyśle rozkazał.

— Otworzyć!

Gdy podniesiono pokrywę, wszyscy nachylili się i natychmiast odetchnęli z ulgą, worki ze złotem leżały w beczce w porządku. Oczy członków komisyi zwróciły się na detektywa. Ale Paulin Broquet nie stracił zimnej krwi.

— Prosiłbym o zważenie worków — rzekł spokojnie.

Dozorca ujął pierwszy z brzegu worek i natychmiast opuścił go z okrzykiem przerażenia:

— To nie jest złoto! Okradziono Bank francuski! Worki, zamiast złota, zawierały kamienie. Powstało zamieszanie. Teraz już nikt nie mógł wątpić o kradzieży. Ale kto, kto mógł tego dokonać?

— Jeden tylko człowiek — odparł Paulin Broquet — Zigomar!

W głębokiej ciszy, która nastąpiła po tem oznajmieniu — nagle w głębi piwnicy rozległ się lekki szmer. Członkowie komisyi zadrżeli, może to straszliwy bandyta przybywa po drugi milion...

Paulin Broquet uśmiechnął się.

— Uspokójcie się, panowie — rzekł — to tylko szczur.

Komisya opuściła piwnice i udało się do biura dyrektora w celu spisania protokołu. Po drodze pan Rhamard nachylił się do ucha detektywa i rzekł.

— Może pan być pewny, że przeklinają w duchu Paulin'a Broquet'a i jego lupę.

— I ja tak myślę — odparł detektyw.

W swem biurze dyrektor zwrócił się do członków komisyi z prośbą zachowania sekretu o kradzieży.

— Bank Francuski stracił milion franków — rzekł — stratę tę łatwo można będzie pokryć, niepodobna jej jednak rozgłaszać, gdyż obudziłoby to zbytni niepokój wśród publiczności.

Poczem — zwracając się do pana Rhamard — dodał:

— Proszę pana o polecenie zbadania tej sprawy panu Paulinowi Broquet.

Detektyw niczego więcej sobie nie życzył.

— Przedewszystkiem — rzekł do dyrektora — chodzi mi o to, żeby absolutnie nikt nie wiedział, że ja objąłem śledztwo w tej sprawie. Następnie proszę o wydanie polecenia, by do piwnicy, gdzie popełniono kradzież, zaniesiono dwa worki gipsu w proszku.

Wieczorem Paulin Broquet udał się wraz z Gabryelem do piwnic. Towarzyszył im sekretarz Banku. Obejrzeli starannie ściany, sklepienia, nie dojrzeli jednak nic podejrzanego. Wówczas pokryli podłogę piwnicy warstwą gipsu. Na drugi dzień na gipsie nie było żadnych śladów. Minął tydzień, detektyw codzień zaglądał do piwnicy, śladów jednak nie było. Pewnego wieczora jednak ujrzał odciski łap szczura. Prowadziły one do jednej ze ścian i tu się kończyły. Detektyw długo i starannie badał ścianę, ale nie odkrył w niej nic podejrzanego. Napróżno ostukiwał ją młotkiem, przypuszczając, iż usłyszy pusty dźwięk.

Znowu minęło kilka dni, a na gipsie nie odnaleziono śladów nóg ludzkich.

Wówczas Paulin Broquet wziął się na sposób. Ustawił kilku ludzi pod dowództwem Gabryela w sąsiedztwie gmachu, polecając pilnować im domy okoliczne, sam zaś, korzystając z głośnej zbrodni w jednem z prowincyonalnych miast, ostentacyjnie wyjechał z Paryża. W kilka godzin później powrócił w przebraniu, ucharakteryzowany nie do poznania. Wprost z dworca udał się do piwnic banku. Tam czekała nań niespodzianka; na warstwie gipsu, rozsypanego na podłodze, nakreślona była wielka litera „Z". Jedna z beczek była otworzona i złoto z niej znikło.

Paulin Broquet wpadł we wściekłość, tym razem Zigomar naprawdę go pobił.

— Jednakże — rzekł — kradzież popełniono niedawno, może dziś rano, złoto nie może być dako, milion franków w złocie, to jest dosyć ciężkie!

Poza literą Z. na gipsie nie było innych śladów, bandyci zatarli starannie odciski stóp. Paulin Broquet poznał to, przyjrzawszy się warstwie gipsu przez lupę.

— Są bardzo zręczni — rzekł do Gabryela, ale w każdym razie, zacierając ślady jakimś kawałkiem materyi — wskazali mi kierunek, w którym odeszli.

Wskazał Gabryelowi róg muru.

— Jak widzisz i tu znać zręczność tego bandyty, miejsce wybrane jest doskonale, niktby nie szukał wyjścia w tem załamaniu muru.

— To prawda, panie szefie.

— Ja sam przechodziłem koło tego miejsca kilkanaście razy i nic nie zauważyłem, chociaż busola i mapa wskazywała mi, że właśnie tu, w pobliżu ulicy de La Vrillière musi być wyjście

Detektyw wyjął nóż i począł próbować nim cement, którym połączone były kamienie. Ku wielkiemu swemu zdziwieniu zauważył, że cement był miękki i elastyczny i uginał się pod naciskiem noża.

Ależ to guma — zawołał Paulin Broquet.

Rzeczywiście duży kamień otoczony był warstwą gumy, imitującą do złudzenia cement. Paulin Broquet chciał wyjąć kamień, ale to mu się nie udało.

-- Musi być z tamtej strony jakiś mechanizm, sprężyna, która porusza kamień. Zresztą nie mamy tu co robić, musimy znaleźć z tamtej strony kryjówkę złota i przeszkodzić zabraniu go przez Zigomara. Chodźmy.

ROZDZIAŁ XXI.

W godzinę później Paulin Broquet przebrany za robotnika, udając mocno podchmielonego, wszedł na ulicę de La Vrillière. Chwiejąc się nieco na nogach i wesoło podśpiewując zatrzymał się przed wartą, umieszczoną w jednem u skrzydeł Banku Francuskiego. Ujrzawszy żołnierza stojącego na warcie, podchmielony robotnik wpadł w entuzyazm i wrzasnął na całe gardło:

— Niech żyje armia!

Poczem zbliżył się i chciał koniecznie uściskać żołnierza, twierdząc, że jest jego kuzynem. Szyldwach nie mogąc się go pozbyć — wezwał dowódcę warty. Ten kazał wziąć pijaka na odwach i posłał jednego z żołnierzy po policyanta. Paulin Broquet grał dalej swą rolę i oświadczył sierżantowi, że go zna oddawna. Sierżant, wesoły chłopak, żartował z pijakiem, który zresztą nie tracił czasu i pilnie rozglądał się po pokoju. W głębi zauważył duże drzwi.

— Dokąd te drzwi prowadzą? zapytał:

— Do raju! — odparł sierżant, chcesz tam wejść?

— Do licha! Zasługuję na to!

Sierżant skinął na swych ludzi i ci otworzyli drzwi, ukazał się długi korytarz, w końcu którego znajdowały się drugie drzwi, zamknięte na wielką zasuwę.

— To jest dopiero czyściec — rzekł sierżant — raj jest za temi drzwiami. Wejdź, znajdziesz tam aniołów i serafinów, no i szczury, nie będziesz się nudził.

Śmiejąc się, zamknął go w dużym pokoju, który był ni mniej ni więcej tylko aresztem. Paulin Broquet śmiał się z początku z żartu, potem począł się gniewać, krzyczeć i walić w drzwi. Jednocześnie jednak rozglądał się bacznie po pokoju. Wyjął lampkę elektryczną i przy jej świetle, wciąż krzycząc i wymyślając obszedł areszt, badając ścianę i podłogę, patrząc na kompas.

— Nie może być dwu zdań — mruknął do siebie — ta sala dotyka do piwnic banku. Wiem, co chciałem wiedzieć.

Wkrótce uwolniono go z aresztu i oddano w ręce policyanta, którym był Gabryel. Policyant ujął pijaka pod rękę i zaprowadził go do najbliższego komisaryatu. W kwadrans później wyszli stamtąd w innych przebraniach.

— Wiem już teraz — rzekł detektyw do Gabryela — jaką drogą Zigomar dostaje się do piwnic Banku, przez posterunek wojskowy przy ulicy de la Vrillière. Doskonały koncept, prawda? I władze pomagają w tej operacyi bandycie.

Wprost z komisaryatu policyi Paulin Broquet udał się do dyrektora banku.

— Muszę pod jakimkolwiek pretekstem — rzekł, dostać się na odwach na czas dłuższy. Proszę mi to ułatwić.



Na warstwie gipsu, rozsypanego na podłodze, nakreślona była wielka litera „Z".

— To nie należy do mnie, lecz do władz wojskowych, one zarządzają tą częścią gmachu — odparł dyrektor.

Paulin Broquet rozpoczął wędrówkę po biurach, dowiedział się tam, że, żeby otrzymać żądane pozwolenie, należy złożyć odpowiednio umotywowane podanie. Po szczegółowem zbadaniu sprawy, władze wydadzą pozwolenie. Paulin Broquet powrócił do dyrektora.

— Czy niema innego sposobu?

— Nie, panie.

— Ależ tu każda chwila jest droga.

— Cóż począć, musimy się trzymać przepisów. Radbym panu dopomódz, ale jestem bezsilny.

— W takim razie muszę działać bez względu na pozwolenie panów biurokratów. Proszę o wydanie polecenia, by wpuszczono mnie do piwnicy mieszkania pana dyrektora.

Dyrektor, nieco zdziwiony, wydał żądane polecenie.

Paulin Broquet ustawił swych ludzi na ulicy de La Vrillière, polecając im dawać baczenie na wszelkie wozy, wózki, taczki i zatrzymać je pod jakimkolwiek pozorem, sam zaś udał się do piwnic dyrektora, który mieszkał w gmachu bankowym. Piwnica wysypana była grubym żwirem, który chrzęścił pod stopami. Detektyw schylił się i wziął garść tego żwiru.

— Spójrz, mój chłopcze — rzekł do Gabryela — taki sam żwir znajdował się w workach, w których skradziono złoto.

— O! panie szefie, w takim razie jesteśmy na tropie.

I ja tak myślę. Szukajmy!

W ostatnim oddziale piwnicy pod ścianą stał szereg beczek. Paulin Broquet spojrzał na kompas i na plan.

— Tutaj powinniśmy znaleźć przejście do piwnic Banku.

Obejrzał starannie beczki, opukał je i zauważył, że niektóre z nich były puste. Podczas gdy przyglądał się obręczom beczek, do uszu jego doszedł dziwny szmer, przypominający skrobanie.

Detektyw pochwycił za rękę Gabryela i pociągnął go w kąt piwnicy, gdzie się ukryli. Po chwili zauważyli w ścianie piwnicy otwór, utworzony przez wyjęcie dużego kamienia. W otworze tym ukazała się głowa i po chwili rozległ się świst. Znowu cisza i jakiś głos odezwał się:

— Jeszcze ich niema.

— Dobrze — odpowiedziano — przygotujmy tymczasem beczki.

Człowiek, którego głowę widać było w otworze, wychylił się do połowy ciała i począł kluczem francuskim rozluźniać obręcze na beczce.

Paulin Broquet przez chwilę zastanawiał się, czy ma rozpocząć walkę z tymi ludźmi.

Nie — rzekł do siebie — to do niczego nie prowadzi. Lepiej będzie, gdy zatrzymamy ich na ulicy, kiedy będą mieli uciec wraz z skradzionem złotem. Skinął na Gabryela i bez szelestu wyszli z piwnicy. Wkrótce później otoczył swymi ludźmi dom gubernatora banku. Bandyci musieli wpaść w pułapkę. Detektyw udał się do szefa bezpieczeństwa i zdał mu raport ze swych czynności. Gdy tam bawił, nadszedł L'Amorce.

— Panie szefie — rzekł — zaszedł fakt, który mi się wydaje podejrzanym.

— Cóż takiego?

— Jeden z saperów, którzy pracują obok odwachu, zachorował. Zatelefonowano do koszar po wózek. Podejrzewam, że to jest nowa sztuczka bandytów i że w tym wózku właśnie przewiozą skradzione złoto.

Szef bezpieczeństwa zatelefonował natychmiast do komendy wojskowej z zapytaniem, czy istotnie przy odwachu prowadzą się jakie roboty. Odpowiedziano mu, że dostanie wyjaśnienie wieczorem.

— Nie możemy czekać tak długo — rzekł Paulin Broquet — musimy działać natychmiast.

— W jaki sposób?

— Jest to dosyć trudne, ale możliwe.

— Niech mi pan wyjaśni.

— Chodzi o to, że będziemy mieli do czynienia z żołnierzami, którzy nie zechcą nas usłuchać.

— Naturalnie.

— Pan ma prawo, panie szefie, wydawać rozkazy gwardyi republikańskiej?

— Tak jest.

— Proszę więc wezwać pluton gwardyi na ulicę de la Vrilière. Otoczymy tym plutonem wózek wiozący chorego, odstawimy go do koszar i tam zbadamy sprawę. To jedyny sposób.

Prefekt policyi, śmiejąc się, wydał natychmiast rozporządzenie.

Doskonale — rzekł Paulin Broquet — ja tymczasem zajmę się piwnicami dyrektora banku.

W tym samym czasie wózek dla przewożenia chorych zatrzymał się przed odwachem i felczer wszedł do środka, by zbadać chorego, który leżał na ławce w izbie dozorcy warty i skarżył się na silne bóle wewnętrzne. Felczer oznajmił po zbadaniu, iż przypuszcza zapalenie ślepej kiszki. Chorego ułożono na noszach, przykryto go kołdrą i wyniesiono na wózek, który, otoczony przez dozorców i saperów, towarzyszów chorego, ruszył z miejsca.

Ciąg dalszy nastąpi.



Teatr na prowincyi: Grupa artystów i artystek „Stałego teatru polskiego w Przemyślu". (Fot. M. Todt, Przemyśl).



Nowa wojna na Bałkanach: Dowódca armii bułgarskiej pod Adryanopolem, jenerał Iwanow, ze swoim sztabem.

Kronika tygodniowa.

Jeśli niniejsza kronika będzie może zbyt smutną, niech się nie dziwią Szanowni Czytelnicy, jest to następstwem uczty śledziowej, którą czcigodna magnifika, troskliwa o zbawienie mej duszy, urządza mi regularnie trzy razy na tydzień.

Protestuję z energią, na jaką mnie stać wobec trybunału domowego, choć nie na wiele się to zdaje, tłumaczę, że nie mam za co pokutować, gdyż w karnawale wcale się nie bawiłem, słyszę jednak tylko stereotypową odpowiedź:

— W takim razie ofiaruj te swoje umartwienia na rzecz rozpustników, którzy szaleli, zwłaszcza w ostatnich dniach konającego karnawału!

Bawił się narodek, ile sił w nogach i monety w kieszeni starczyło, wypito tyle różnych płynów alkoholicznych, że możnaby napełnić nimi basen, w którym łatwo zmieściłby się największy dreadnought, ze zjedzonych zaś pączków ułożyłbyś kopiec, wyższy, niż wieża Maryacka.

Dziś miejsce karnawałowego podniecenia zajęły gorzkie rozmyślania nad wyszukaniem bodaj jakiegoś małego planu finansowego, na podstawie którego możnaby pokryć styczniowe zobowiązania. Ani się bowiem spostrzeżesz, jak do drzwi twego domostwa zapuka poczciwy pan Aron, albo pani Rebeka, wyjmie z zatłuszczonego portfelu twój własnoręcznie podpisany weksel i zapyta śpiewnym głosem:

— Nu?... Co bedzi?...

Jestem pewnym, że wówczas znalazłbyś się chętnie w Warszawie, gdzie bojkotuje się sympatyczną dziatwę Izraela, gdyż mógłbyś odwrócić się z pogardą plecyma i rzec wyniośle:

Nie płacę!

Starozakonny odszedłby wówczas z pokorną miną, a ty wiedziałbyś, że jesteś panem sytuacyi.

Niestety, u nas dzieje się zupełnie inaczej, my robimy pokorną minę, a nasi przyjaciele polityczni odwracają się do nas plecami, idą do tego lub owego pana mecenasa i wnoszą skargę wekslową, a z nią niema żartów.

Tego rodzaju kłopoty czekają nas w czasie wielkiego postu, a czekają nie tylko tych, którzy w karnawale się bawili, ale i spokojnych, jak nie przymierzając ja, obywateli.

Stagnacya finansowa ciągle jednakowa, choć prawie codzienie donoszą o nowych oryentacyach politycznych, z których jednak nasi „monetodawcy“ w żaden sposób nie chcą wyciągnąć daleko idących konsekwencyi i otworzyć swych kas, choć ziemia nasza tak spragnioną jest złotego dżdżu.

Ot, mnie samego spotkało coś podobnego.

Choć, jak wyżej wspomniałem, w czasie wielkiego postu karmimy się przeważnie śledziami, jednakowoż i tych skromnych rybek nie dostanie się za darmo, ale trzeba za nie płacić, we Wiśle zaś i Rudawie nie udało się ich jeszcze zaaklimatyzować (choć na Podgórzu wyrabiają oddawna prawdziwe francuskie sardynki).

Aby więc zaopatrzyć się w śledzie, (które, nawiasem mówiąc, w czasie wielkopostnym zdrożały i z mrozu się skurczyły), trzeba mieć monetę, jeśli jej zaś brak, musi się pożyczyć.

Ponieważ znalazłem się w tem miłem położeniu, iż w kieszeni prócz klucza od bramy, chustki i pudełka zapałek nic więcej nie było, doszedłem po długim namyśle do przekonania, że trzeba postarać się o pieniądze na opędzenie koniecznych wydatków, jeśli człek wraz z rodziną nie chce zginąć z głodu.

Udałem się więc do pewnej instytucyi finansowej, kędy mam ulokowane... swe długi i poprosiłem o nową pożyczkę.

Powiedziano mi... abym był cierpliwym!

I cóż miałem począć, ukłoniłem się pięknie i poszedłem dalej, jeśli zaś blada śmierć głodowa zagląda mi w oczy, krew moja niech spadnie na głowy tych, którzy mi cierpliwość doradzali, w drugim rzędzie zaś na tych, którzy niezdecydowaną swą polityką popchnęli nas w położenie bez wyjścia!

Z ostatnich dni karnawału muszę jeszcze wspomnieć o reducie w jamie Michalikowej, na którą także narzekano, gdyż podobno giną już typy onych peleryniarzy, którzy zabarwiając się wzmocnioną wiśniówką, nadawali temu przybytkowi charakterystyczną cechę. Dziś i tu słychać coraz częściej: „Proszę o dwa czastki widymane i dwie kieliszki szliwowicy!...“

Miejsce artystów zajmują... mecenasi sztuki.

Kto zresztą ciekaw, jak wyglądają krakowskie typy balowe, niech idzie do Teatru Nowości na występy Wyrwicza.

Druga rzecz, która mnie zainteresowała, to stosunkowo zbyt mały procent stadeł małżeńskich, skojarzonych w ubiegłym karnawale. Kto się zaś nie pospieszył, sam sobie będzie musiał przypisać winę, gdyż ekscellencya Zaleski uwziął się na starych kawalerów i zapałki i zapowieedział, iż nie spocznie, dopóki nowych podatków nie przeprowadzi!

Krakowskiego wykazu statystycznego nie mam przed sobą (ogłoszono dopiero sprawozdanie z ruchu ludności za grudzień 1912), z wiedeńskiego jednak widzę, że tam w ostatnich dniach karnawału zawarto ponad 1300 związków małżeńskich, nie licząc kilkunastu wesel srebrnych, złotych i brylantowych.

Pisma codzienne zaznaczają, że tak wzmożonego ruchu małżeńskiego nie było po inne lata! Widać z tego, że Wiedeńczycy zdają sobie sprawę z sytuacyi, z jednej bowiem strony chcą się uwolnić od opłaty starokawalerskiego podatku, z drugiej zaś pragnęliby zadośćuczynić żądaniom ministra wojny i obrony krajowej. Domagają się zaś obaj ci panowie coraz większej liczby rekruta, a skąd go tu wziąć, jeśli sama ludność o to się nie postara?

A u nas w Krakowie? Ot, zawarto kilkadziesiąt małżeństw, ale nie stoją one w żadnym procentowym stosunku do liczby wiedeńskich. Wiedeńczycy, to patryoci, my, zwykli sobie chlebojady i zalegające zawsze podatniki!

Z wykazu grudniowego, przedstawionego przez miejskie biuro statystyczne, wnosić należy, że wojny nie będzie, w tym miesiącu bowiem przyszło na świat więcej dzieci rodzaju żeńskiego, niż męskiego. A znak to pewny, wierzyli w to nasi ojcowie i dziadowie, a oni byli od nas stanowczo rozsądniejsi.

Zachodzi jednak kwestya, którą należałoby wyjaśnić, to jest sprawdzić, czy ten stosunek noworodków rodzaju męskiego i żeńskiego jest naturalnym, czy też może i sztucznym? Wszakże spokojne małżeństwa mogły się zbuntować i postanowić, że odtąd obdarzać będą życiem jeno osobniki żeńskie, by w ten sposób zmusić rząd do podjęcia polityki pokojowej. Któż bowiem będzie walczył, gdy braknie rekruta?

Stać się to zaś mogło bardzo łatwo przy pomocy owych powiedłek dra Schenka z Wiednia i formułki dra Ciesielskiego ze Lwowa, o której w swoim czasie tyle pisano i mówiono.

Byłaby to zdrada stanu, która musiałaby pociągnąć za sobą dotkliwą karę i wkroczenie władz rządowych, oraz zamianowanie komisarza, który miałby obowiązek czuwać nad tem, aby przestrzeganym był pilnie uchwalić się mający przez parlament stosunek procentowy noworodków płci męskiej i żeńskiej.

Przybyłaby w ten sposób jeszcze jedna konieczność państwowa, którą musiałyby się zająć nasze ciała prawodawcze, radzące obecnie nad tem, aby wprowadzić w Austryi podatek zapałkowy.

Na posiedzeniu Izby posłów przedłożył minister Zaleski projekt, który przewiduje od zwykłych siarkowych zapałek podatek po dwa halerze od paczki, mającej najwyżej ośmdziesiąt zapałek, za każde dalsze ośmdziesiąt sztuk pobierać się będzie także po dwa halerze, od innych zapałek w jakiemkolwiek opakowaniu za sześćdziesiąt sztuk po dwa halerze. od woskowych aż dziesięć halerzy.

Licząc po trzy zapałki na głowę i dzień preliminuje pan minister roczny dochód ponad dziewięć milionów koron, jeśli zaś przyjmiemy pięć zapałek na głowę, prawie szesnaście milionów.

Wedle §. 15. nowej ustawy zacznie także obowiązywać podatek od przyrządów do zapalania, po dwie korony od sztuki, z tem zastrzeżeniem, iż, jeśli komuś dajmy na to piorun zapali jakowyś budynek, właściciel będzie zobowiązanym do dni trzech uiścić tę samą opłatę w c. k. urzędzie podatkowym, a to pod grozą egzekucyi.

Podpalacze, którzy będą używać przy spełnianiu czynu karygodnego wyżej opodatkowanych zapałek, będą mogli liczyć na przyznanie okoliczności łagodzących.

„Palenie się“ kawalerów do płci nadobnej zostanie także opodatkowane w drodze specyalnego rozporządzenia i wyznaczona w tym celu osobna komisya szacunkowa.

Jest to tylko część owego „małego planu finansowego“, o którym poprzednio już wspominałem, a który jest obecnie wentylowany w austryackiej Radzie państwa. Bracia Rusini rozpoczęli przeciw niemu obstrukcyę i obiecali ustąpić, jeśli rząd pójdzie im na rękę w sprawie podatku domowo-klasowego i wódczanego.

Ale nie tylko wysoki Rząd myśli o zasileniu swych finansów, o to samo stara się i krakowska Rada miejska, która ma wziąć pod obrady podwyższenie podatku od widowisk wszelakiego rodzaju.

Od przedstawień teatru miejskiego ustanowiono pięcio-procentowy dodatek do ceny biletów, od innych przedstawień teatralnych oraz koncertów dziesięcio-procentowy, kinematografom dostało się aż piętnaście procent!

Swoją drogą jest to nowy zamach na naszą kieszeń, gdyż ten podatek sami będziemy musieli zapłacić, chyba, że wyrzekniemy się przyjemności uczęszczania na wszelkiego rodzaju widowiska.

Osłabnie także gorączka kinematograficzna, panująca obecnie w Krakowie epidemicznie, jak to stwierdza komunikat miejskiego urzędu zdrowia i ciągłe starania się różnych osobników i instytucyi o koncesye, choć na Kraków wydano ich już ośm. Nawet magistrat ma już pozwolenie na dawanie przedstawień kinematograficznych, a stara się jeszcze o koncesyę na restauracyę z damską obsługą, teatr pcheł i inne przedsiębiorstwa, które mają napełnić wiecznie spragnioną miejską kasę.

Nadto — i to jest bardzo chwalebne — postanowiono opodatkować instrumenty automatyczne, jak: gramofony, automatyczne fortepiany, kataryńki, arystony i t. d. Zależnie od frekwencyi w lokalach, w których się znajdują, opłaty będą wynosiły od dziesięciu halerzy do dwudziestu koron za każdy dzień.

Może więc zamilkną nareszcie ich czeluście, drące nam uszy tak niemiłosiernie.

Byłbym niewdzięcznym, gdybym nie wspomniał choć kilku słowami o głębszej, raczej szerszej polityce.

Zacząć muszę naturalnie od pana prezydenta miasta, który zapadł na jakąś polityczną chrypkę, przyszedł już jednak do zdrowia i wyjechał nad modry Dunaj, dokąd powrócił także ks. Hohenlohe z swej misyi politycznej. Jedni powiadają, że się udała, drudzy twierdzą, że zrobiła fiasco, my dotąd nic pewnego nie wiemy, tak samo, jak o owej nowej „oryentacyi“, wedle której trójporozumienie miałoby się rozlecieć, wzmocnić natomiast trójprzymierze.

Jesteśmy wogóle, jak tabaka w rogu, dość powiedzieć, że do dnia dzisiejszego nie wiemy, co się dzieje pod Czataldżą, kto jest stroną czynną, kto zaś bierną, tak sprzeczne są telegramy, zamieszczane przez nasze pisma.

Najbardziej podoba mi się ostatnia wiadomość, iż reunion ambasadorów postanowił zwołać do Paryża komisyę, która ma się zająć podziałem długu tureckiego pomiędzy członków Unii bałkańskiej.

— Mój Boże — pomyślałem sobie — jacy szczęśliwi są ci Turcy! Nawet ich długami chcą się dzielić, a zwykły śmiertelnik jakoś nie może znaleźć się nigdy w tem miłem położeniu! Ja, o ile mnie to osobiście dotyczy, jestem gotów zupełnie bezinteresownie odstąpić każdemu wszystkie swe długi, już zaciągnięte i zaciągnąć się mające. Po bliższe informacye zechcą się reflektanci zgłaszać w godzinach urzędowych. Pośrednictwo wykluczone!

Najgorsze jednak, że będziemy musieli chodzić już niedługo bez butów, bo i one podrożeją!... Zaczynamy jakoś zupełnie wchodzić w ślady biednych Turków, którzy już od dawna są w tem, niezbyt może miłem położeniu.

Zdruzgotany pociąg.

Najstraszniejszemi wśród katastrof, jakie zdarzają się obecnie, są katastrofy kolejowe. Ogromna chyżość z jaką pędzą nowoczesne pociągi, podnosi niebezpieczeństwo, na jakie narażone są one w razie jakiegoś zderzenia lub wypadku. W szeregu katastrof kolejowych ostatnich tygodni, jedno z poważnych miejsc zajmuje straszna katastrofa, jaka zdarzyła się w Indyach na kolei wojskowej w okolicy Quetta. Spotkały się dwa pociągi, towarowy i osobowy, skutek zderzenia był wprost okropny. Wagony jak pudełka z kartonu wbiły się jedne w drugie, pogięły i porozpadały. Katastrofa pociągnęła za sobą liczne ofiary w ludziach.

Illustracya nasza przedstawia spiętrzone wozy po wypadku.

Zamordowanie socyalistycznego posła.

Przed kilku dniami w Wiedniu zdarzył się fakt, który wstrząsnął całą stolicą. O godz. 11 w nocy na dworcu kolei północno-zachodniej został zamordowany znany wybitny działacz socyalistyczny, poseł do parlamentu Schuhmeier. Zamachu dokonał robotnik Paweł Kunschak. Oczekiwał on Schuhmeiera, a kiedy ten podszedł do niego, strzelił mu w głowę z browninga, kładąc go trupem na miejscu.



Zamordowanie socyalistycznego posła: Zamordowany w Wiedniu poseł Schuhmeier.

Powodem morderstwa jest zemsta. Kunschak został wydalony z partyi i przez półtora roku nie mógł znaleźć zajęcia, gdyż organizacye socyalistyczne nie dopuszczały go do pracy. To też skłoniło go do tej krwawej zemsty.

W dzisiejszym numerze podajemy portret zamordowanego posła.

Niezwykły jubileusz.

Niezwykły jubileusz obchodzono w tych dniach w Warszawie — jubileusz wprawdzie cichy, ale zato rzadki i godny zaznaczenia.. Był to zbiorowy jubileusz pracowników fabryki Tow. akcyjnego pod firmą „Norblin, br. Buch i T. Werner", którzy niemal całe życie spędzili na pracy w tej firmie. „Najmłodszy" z nich pracuje bez przerwy w fabryce 40 przeszło lat, a najstarszy 68 lat! Pomimo, iż dosięgnął on sędziwego wieku 83 lat, pracuje nadal z niesłabnącą energią.

Sędziwych jubilatów podejmował dyrektor i współwłaściciel fabryki, p. Teodor Werner, a niezwykła ta uroczystość miała nastrój podniosły i serdeczny.



Zdruzgotany pociąg: Katastrofa kolejowa na linii wojskowej w Indyach.

Rzadki wypadek kolejowy.

(Do illustracyi na str. 10).

Widownią dość rzadkiego wypadku kolejowego była w tych dniach stacya Sambor. Przy wjeździe pociągu towarowego rozległ się trzask i jedna z cystern, naładowana ropą, bez żadnej zewnętrznej przyczyny nagle przewróciła się do góry kołami, pociągając za sobą kilka innych wagonów z deskami. Jak się okazało, powodem tego wypadku było pęknięcie osi pod cysterną na zwrotnicy wjazdowej.

Wylana ropa z cysterny i rozrzucone deski zatamowały ruch na wszystkich prawie torach, tak że pociągi przychodziły i odchodziły po jednym tylko bocznym torze.

Illustracya nasza przedstawia przewrócone wagony na stacyi.

Kurs ogrodniczy w Warszawie.

(Do illustracyi na str. 3).

Fachowe wykształcenie jest głównym warunkiem rozwoju zarówno przemysłu, jak rolnictwa i wszystkich wogóle zawodów. Należyte wykształcenie najszerszego grona pracowników jest podwaliną bogactwa narodowego... Rolę tę pełnią nie tylko szkoły zawodowe, w których młodzież zdobywa podstawy wiedzy fachowej, ale także urządzane kursa dla po-



Niezwykły jubileusz: Jubilaci fabryki Tow. akcyjnego „Norblin, br. Buch i Werner" w Warszawie. Od lewej ku prawej stronie siedzą pp: Michał Ugelter (pracuje w fabryce 51 lat), Leon Adamski (68 lat), dyrektor i współwłaściciel firmy Teodor Werner, Antoni Rygier (55 lat), Michał Nowacki (50 lat). Stoją pp.: Leonard Szafrański (pracuje 44 lat), Paweł Drzewiecki (46 lat) Marcin Narkiewicz (44 lat) i Stanisław Frycz (43 lat). (Fot. Maryan Fuks, Warszawa).



Łowy księcia Monaco: Ks. Albert Grimaldi Monaco (X) w otoczeniu swych towarzyszów w Warszawie.
(Fot. Maryan Fuks, Warszawa).

szczególnych kategoryi fachowców, którzy, aby iść z postępem czasu, muszą wciąż kształcić się i uzupełniać swą zawodową wiedzę...

Pożytek takiego fachowego wykształcenia zrozumiała zwłaszcza Galicya, gdzie corocznie odbywa się mnóstwo najrozmaitszych kursów zawodowych. W trudniejszych warunkach znajduje się pod tym względem Król. Polskie, ale i tam pracują nad podniesieniem wykształcenia zawodowego organizacye społeczne. W tych dniach zakończył się właśnie w Warszawie siedmiodniowy kurs dla ogrodników miejskich, żorganizowany przez Warszawskie Tow. Ogrodnicze. Wyniki kursu, na ktory zjechali się liczni słuchacze ze wszystkich stron kraju, były bardzo pomyślne, a uczestnikom ich obok fachowych wiadomości dały szereg miłych wrażeń.

Łowy księcia Monaco.

W tych dniach bawił w Warszawie niezwykły gość i „władca" najmniejszego, ale niewątpliwie najrentowniejszego państewka — książę Albert Grimaldi Monaco. Władca w państwie rulety jest zapalonym myśliwym i przybył do Warszawy w przejeździe do puszczy Białowieskiej na polowanie. W ciągu trzech dni z wielkiem powodzeniem tropił zwierza w kniejach białowieskich i położył celnymi strzałami żubra, dzika, oraz kilka jeleni...

Ks. Albert Grimaldi, jak się okazuje, jest mistrzem w polowaniu, czemu zresztą nie należy się dziwić... Z jeszcze większem powodzeniem, niż na zwierzynę, poluje władca Monaco w swem państwie rulety na ...graczy, znoszących mu złoto ze wszystkich krańców świata...

Illustracya nasza przedstawia ks. Monaco w Warszawie, w przejeździe na polowanie w puszczy Białowieskiej.

Tragedya z zazdrości.

Zazdrość ludzka częstokroć sprowadza nieszczęścia, a jeżeli zazdrość rozwija się na tle miłości, kończy się zazwyczaj tragedyą. Tak też wydarzyło się ubiegłego tygodnia we Lwowie. Władysław Kalondyk, przykrawacz krawiecki, wdowiec, ojciec dwojga dzieci, wychowywanych w Kamieńcu Podolskim u krewnych, poznał we Lwowie młodą wdowę po szewcu, Klementynę Buczyńską i wspólnie z nią zamieszkał w jednej izbie w Rynku. Kochał ją szalenie i był o nią zazdrosny. Buczyńska przez cały dzień zajętą była jako kelnerka w mleczarni, a wieczorem wracała do domu. Jedna z jej koleżanek doniosła Kalondykowi, że kochanka jego nietylko flirtuje z gośćmi, ale poprostu go zdradza.

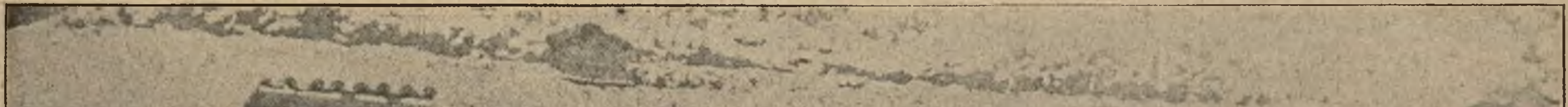
Plotkarstwo to, bo, jak się póżniej okazało, koleżanka owa mówiła nieprawdę, spowodowało katastrofę. Gdy Buczyńska wróciła wieczorem do domu,



Tragedya z zazdrości: Władysław Kalondyk.

Kalondyk wyprawił jej awanturę. Tłumaczyła mu, że to nieprawda, zaklinała się, aż wreszcie, sądząc, że go przekonała, ułożyła się do snu. Nie przeczuwała, jak straszny zamiar powziął jej kochanek.

Noc już była póżna, gdy Kalondyk ukończył swoją korespondencyę przedśmiertną, skręcił lampę, przystąpił do łóżka kochanki i strzelił jej w głowę. Sądził, że wymierzył już sprawiedliwość. Podszedł do swego łóżka i włożył w usta rewolwer. W tej chwili zerwała się z łóżka obudzona wystrzałem i bólem w głowie Buczyńska. Podbiegła do kochanka,



Nowa wojna na Bałkanach: Zabawa wojsk bułgarskich, oblegających Adryanopol.

lecz on, oszołomiony pierwszym wystrzałem, nie spostrzegł już tego. Padł strzał. Kalondyk runął na łóżko i w tej chwili wyzionął ducha.

Kryje go już mogiła, a Buczyńska niebawem opuści szpital.

Ujęcie międzynarodowych włamywaczy.

Niebezpiecznych ptaszków schwytano w tych dniach w Przemyślu. Są to J. Schneider i Józef Müller, którzy przybywszy do Przemyśla, przedstawiali się jako hrabiowie i prowadzili życie nadzwyczaj hulaszcze. To zwróciło na nich uwagę policyi, która zaczęła śledzić rzekomych hrabiów, aż wreszcie aresztowano ich w chwili, gdy pod pozorem kupna prowadzili przedwstępne „studya“ w hurtownym składzie jubilerskim Weinstocka. Przy aresztowanych znaleziono 1400 koron gotówki, a nadto 3 nabite browningi i wiele biżuteryi, pochodzącej z kradzieży w różnych większych miastach.



Ujęcie międzynarodowych włamywaczy: Aresztowany w Przemyślu J. Schneider.

Obu schwytanych ptaszków, którzy jak stwierdzono, należą do międzynarodowej szajki włamywaczy, odstawiono do sądu karnego.

Teatr na prowincyi.

(Do illustracyi na stronie 13).

Jedną z szlachetniejszych rozrywek jest niewątpliwie teatr, który spełnia również ważną misyę kulturalną. Miasta prowincyonalne muszą zadawalniać się przeważnie tylko wędrownymi teatrami, gdyż nie posiadają warunków i środków na utrzymanie stałej sceny. To też z uznaniem należy podnieść próbę utworzenia stałego teatru w największem galicyjskiem mieście prowincyonalnem, w Przemyślu, gdzie został w tych dniach zorganizowany i otwarty „Stały teatr polski“. Przedstawienia tego teatru rozpoczęły się w d. 1 b. m. w sali przy ul. Grodzkiej i cieszą się zupełnem powodzeniem. Repertuar teatru jest naturalnie mieszany, na pół ludowy, gdyż stała scena w Przemyślu zdoła się utrzymać tylko wtedy, gdy zdobędzie dla siebie jak najszersze warstwy, które dotychczas mało korzystały z teatru. Jest to zadanie bardzo piękne, to też nowemu teatrowi i jego drużynie artystycznej należy się jak najszczersze poparcie.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy grupę artystów teatru przemyskiego.



Proces paryskich bandytów automobilowych: Oskarżeni w procesie szajki Bonnota i Garniera.

Proces paryskich bandytów automobilowych.

Od kilku dni Paryż ma nową sensacyę, która wzięła nawet górę nad sprawami politycznemi. Rozpoczął się mianowicie proces znanej szajki bandytów automobilowych, którzy przez pewien czas byli postrachem Paryża i okolicy. Kradli oni automobile, niespodziewanie zjawiali się na nich w oznaczonem miejscu, rabowali i rozbijali kasy, uciekając następnie pod osłoną gradu kul, któremi zasypywali goniących. Na swem sumieniu mają cały szereg zbrodniczych napadów.

W grudniu 1911 r. obrabowali w biały dzień w Paryżu kasyera na ul. Ordeur. W lutym 1912 r. zabili ajenta policyjnego, który zatrzymał ich w Paryżu na placu du Havre, w kilka dni zaś potem napadli na biuro notaryusza Tristant. Następnie zabrali samochód w Montgeron, szofera zabili, a jego towarzysza ciężko poranili. Na tym automobilu udali się do Chantilly, gdzie, zastrzeliwszy kilku urzędników w banku, zrabowali 47 tysięcy franków.

Ścigający bandytów komisarz policyi Jouin został przez nich zamordowany.

Na czele bandy stali trzej wodzowie: Garnier, Bonnot i Vallet. Osaczeni przez policyę, bronili się zaciekle i wszyscy zginęli. Wspólnicy ich w liczbie dwudziestu osób stają obecnie przed sądem. Są to: Maitrejean'owa, Wiktor Kibalczyc, Rosyanin, Kamile Dieudonne, Raymond Callemin, przezwany „Raymond la Science“, Andrzej Soudy, z przydomkiem „l'home a la carabine“, Stefan Gouzy, Jan Deboe, Marcel Poyer, Jan Dettweiler, Dawid Bellonie, Leon Rodriguez, Kleber Bernard, Marya Vuillemin, Henryk Crozat de Fleury, Karol Reinert i „femme“ Le Clech.

Cała ta banda tworzyła gminę anarchistyczną, grupującą się koło redakcyi pisma „l'Anarchie“, wydawanego przez redaktorkę Maitrejean'ową i Kibalczyca. Lokal redakcyi był norą, do której znoszono zrabowane rzeczy. Tam dzielono się łupem, przechowywano ściganych bandytów, starano się dla nich o dokumenty, przygotowywano wytrychy, broń i t. d.

Sama rozprawa odbywa się pod silną strażą wojskową. Miejsca dla publiczności znacznie ograniczono, a ceny biletów wstępu podnieśli specyaliści od takich interesów na 150 fr. za bilet.

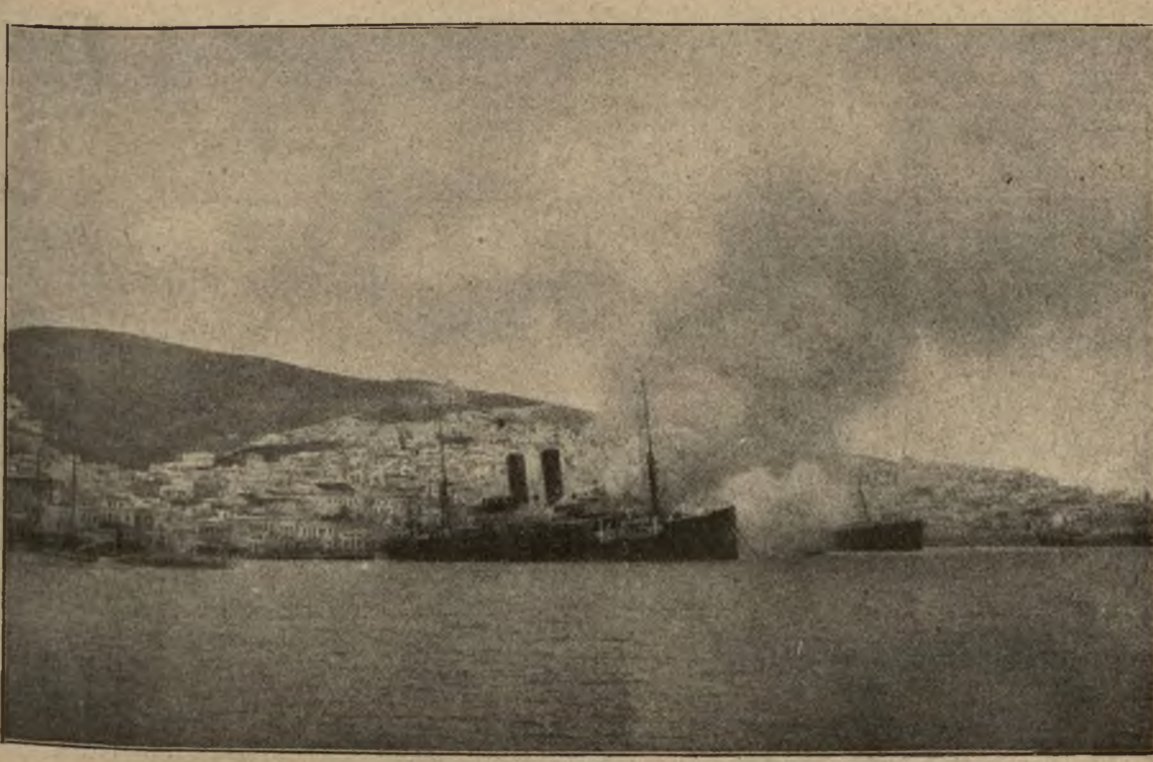


Ujęcie międzynarodowych włamywaczy: Aresztowany w Przemyślu Józef Müller.

Wszyscy oskarżeni chwycili się metody zaprzeczania zarzuconych im czynów. Z wyglądu nie robią zbyt dobrego wrażenia; przeważnie mali, dosyć nędznie wyglądający, giną wśród mundurów straży więziennej. Jedynie wybijają się Dieudonne, który w Paryżu zabił kasyera, Gouzy i Soudy, który w Chantilly stał na czatach i strzałami usuwał publiczność z drogi automobilu.

Do procesu wezwano przeszło 300 świadków, tak, że potrwa on najmniej trzy tygodnie.

Illustracya nasza przedstawia podobizny wszystkich oskarżonych.



Nowa wojna na Bałkanach: Pożar na greckim okręcie „Macedonia“ w porcie Hermupolis, wzniecony przez pociski eskadry tureckiej.

Szpieg w spódnicy.

Adela z Stichlerów Cellary, której podobiznę podajemy, przyjechała do Lwowa z Warszawy z początkiem października ubiegłego roku. Wysłaj ją z listem Filemon Stecyszyn, głośny organizator szajki szpiegowskiej, podobnie jak Zofię Kucharzewską, zasądzoną już przez lwowski trybunał karny



Szpieg w spódnicy: Adela Cellary, zasądzona we Lwowie na pół roku więzienia za szpiegostwo.

na dwa lata więzienia. Kilka innych osób z tej szajki zostało także zasądzonych, a podobizny ich zamieściliśmy swego czasu.

Cellary wpadła tu w ręce policyi i na podstawie rozmaitych obciążających okoliczności przyznała się do tego, że miała za odpowiednim wynagrodzeniem spełniać funkcye pomocnicze i że do tego celu skłonił ją Stecyszyn w Warszawie.

Po czteromiesięcznem więzieniu śledczem odbyła się przeciw niej we Lwowie ubiegłego tygodnia rozprawa. Przy zastosowaniu okoliczności łagodzących skazano Cellary za szpiegowstwo na pół roku ciężkiego więzienia, czyli, że za dwa miesiące opuści Lwów, albowiem wliczono jej do kary więzienie śledcze.

NADESŁANE.

Na podarki Wielkanocne dostarcza firma fabryczna S. Schein c. i k. dostawca nadworny i kameralny w Wiedniu I., Bauernmarkt 10, 12, 14 modnych zasłon koronkowych, składających się z dwóch skrzydeł koronkowych po 100 cm. szerokich, a po 300 cm. długich wraz ze wspaniałą draperyą sukienną, zdobną eleganckim haftem ton w tonie, 40 cm. szeroką, a 150 cm. długą za wynagrodzeniem jedynie kosztów wyrobu w kwocie 5 Kor. 10 hal. za okno.

Wysyłka tylko za wyraźnem powołaniem się na nasze pismo, za pobraniem pocztowem.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 5.

Logogryf:
Pabijanice
Obotryci.
Zama, Ereb.
Notre Dame.
Argonauci.
Janus.
Serato
Antolog.
Makowate.

Krzyż magiczny:

S T W
z a y
a r h
S z a j n o c h a
T a r n o w s k i
W y h o w s k i J
c s k
h k i
a i J

Zadanie do przestawienia: Pieczone gołąbki nie lecą same do gąbki.

Zadanie do przestawienia: Nie chciała czapla rybek, a teraz je żaby.

Łamigłówka:
a r a
s a l a
a g a w a
p a n a m a
a r a r a t
g a l a r
a g a t
a c h

Przysłowiówka: Kto smaruje ten jedzie.

Łamigłówka:
Rak
kto
nóż
iwo
nie
koc
oka
mak
kra
nos
aga
lew
era
lut
udo

Bilety wizytowe: Restaurator. Minister wojny. Premier gabinetu

Zagadka liczbowa:

3	4	9	6	3
6	7	1	7	4
9	1	5	1	9
4	7	1	7	6
3	6	9	4	3

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, J. Łopatkiewicz Sambor, Cz. Lipiński Zakopane, M. Lisowska Sambor, J. Strojek Podgórze, I. Brzostowski Krosno, M. Wojkowski Tarnopol, D. Sedyńska Zakopane, J. Jakubowska Kraków, J. Wilczkiewicz Sambor, S Kowalówka Kraków, K. Kaim Warszawa, W. Ostrowski Warszawa, S. Galiński Nowy Sącz, J. Rogalski Rzeszów, K. Kamiński Warszawa, M. Borkowska Lwów, K. Ciesielski Rzeszów, H. Łapińska Kraków, J. Waligórski Lwów, R Sadowski Kraków, J. Gross Podgórze, A. Biliński Tarnopol, M. Więckowska Łódź, W Thun Kalisz, W. Świrski Sanok, A. Bandrowski Częstochowa, L. Kwaśniewski Piotrków, J. Kopczyńska Bierzanów, R. Knapik Kraków, S. Wiewiórowski Przemyśl, J. Jaworski Kijów, S. Bukowski Równo, H. Maciejowska Winnica, J. Wolny Warszawa, S. Mazurkiewicz Lwów, J. Popiel Kamieniec, J. Jahoda Cieszyn, W. Błoński Kraków, J. Ciszewski Jasło, S. Kamiński Petersburg, K. Radomski Warszawa, S. Rogalski Tarnów, H Radziński Jasło, L. Lindenbaum Czerniowce, J. Ohrenstein Stanisławów, D. Schwadron Stanisławów, J Wilkosz Rzeszów, S. Sygusrska Tarnów, F. Frankowicz Lwów, J. Martynowicz Lwów, H. Piątek Podwołoczyska, S. Krzyżanowski Podgórze. J. Broda Tarnów, M. Antosz Sanok, K. Gliński Kołomyja, S. Balicki Lwów, C. Wang Rzeszów, J. Lipowski Lwów, M. Wańkowicz Mińsk, J. Pick Warszawa, H. Obst Jasło, M. Wędrychowska Sanok. S. Medyński Zakopane, T. Rzepecki Poznań, W. Urban Lwów, S. Kamiński Jasło, H. Ungar Lwów, M. Kobyłecka Stanisławów, M Kozicka Lwów, J. Bałuk Kraków, J. Skalski Sanok, S. Lemiszewski Żółkiew, K. Armatys Uhnów, J. Czarnowski Poznań, J. Gramski Tarnów, M Bróż Lwów, S. Bernstein Warszawa, S. Sokołowski Kraków, K. Błachowski Kraków, W. Sołtysik Lwów, K. Zegartowska Bogucice, H. Figiel Sambor, K. Leszczyński Jasło, T. Nikiel Chrzanów, F. Horak Oświęcim, M. Domagalska Kraków, W Raczyńska Sanok, J. Nowacki Sniatyn. J. Darowski Petersburg, M. Sperling Wiedeń, T. Mazaraki Radom, J. Trepka Sandomierz, W. Krzywicki Jasło K. Reichenberg Cieszyn, D. Gross Sanok, L. Sobański Warszawa, M. Münz Stryj, J. Kossowski Lwów, F. Blätter eind Kołomyja, W. Potocka Kraków, S. Kalinowska Podłęże, R. Linderski Siemiechów, D Hubaczek Stanisławów, J. Niemojewski Zakopane, S. Karczmarski Poddębie, M. Klappholz Szczawnica, J. Krawecki Bochnia.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **W. Urban, Lwów.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Ze świata kobiecego.

Nowy sezon.

Zapowiadana od dawna zmiana fasonu spodnic w nowym wiosennym sezonie znalazła już obecnie wyraz w modzie t. zw. przejściowej, która na schyłku zimy, a początku wiosny na pierwszy plan występuje. Poszerzenie to jest co prawda bardzo nieśmiałe i przeważnie zasadza się na oryginalnej kombinacyi fałdów i fałdzików, które pozostawiają ogólną sylwytkę sukni nadal wysmukłą jak dotychczas, jednak wewnętrznie niejako ją poszerzają. Widziałam n. p. suknię zrobioną z pluszu następującym krojem. Staniczek o długich rękawach miał kształt bolera z kołnierzem wykładanym. Spodniczka zaś była szeroka, opadająca swobodnie w luźnych fałdach jednak ujęta w. dwa paski. Jeden szeroki ujmował ją w pasie i był z jedwabiu w tym samym kolorze, udrapowanego w luźne poprzeczne fałdy,



Kostyum na czas przejściowy, żakiecik z włóczki z paskiem.

drugi zaś węższy u dołu spodnicy zbierał luźne jej fałdy w stosunkowo wąską całość.

Również bardzo elegancko przedstawiał się kostyum z ciemno-zielonego sukienka. Zakiecik półdługi kończył się z tyłu długim fraczkiem, który spadał aż do dołu spodnicy. Szeroki kołnierz wykładany zrobiony był podobnie jak całe podbicie żakietu z białego atłasu. Spodniczka, skrojona według dotychczasowej formy, poszerzona była przez to, że po bokach były dwa kontrafałdy rozbiegające się od kolan.

Wracają także w wiosennych fasonach sukien *panier* u spodnic tylko w innej znacznie zreformowanej formie, która poszerzając spodnicę, nie nadaje jej jednak tak niezgrabnego i szerokiego wyglądu jak było przedtem.

Oryginalnie wyglądają nowe fasony kostyumów pluszowych lub aksamitnych, stosownych na czas przejściowy. Widziałam model z szaro-zielonego pluszu, którego żakiecik, sięgający do kolan był zupełnie luźny o szerokich rękawach, ujętych w wysokie manszety, ozdobione koronkami. Zakiet u dołu był przybrany pasem haftu aplikacyjnego oraz bramowaniem z futra. Spodniczka gładka dosyć szeroka uzupełniała całość.



Kostyum wiosenny, żakiet przybrany jedwabiem w kolorze spódnicy.

Największą rozmaitość na razie wykazują kapelusze, może dlatego, że są to dotychczas przeważnie modele, mające urobić smak dla całego sezonu, a więc będące wykwitem fantazyi paryskich lub niemieckich modniarek. Szyte z różnorodnej borty słomianej, mają nieraz bardzo dziwaczne kształty. Zawierucha bałkańska i tu zaznaczyła swe prawa, wprowadzając na sezon jako *clou de mode* toczki w formie turbanów kształtu cokolwiek podłużnego i dosyć wąskie. Jako modne wymienić należy także kapelusze o formie *marquis*, amazonki lub najnowsze *mefisto*.

Słomkę na plecionki używa się w dwóch kolorach, co wobec pojedyńczego przybrania wygląda bardzo elegancko. Strojenie kapeluszy okazuje tendencyę „ku górze". Przybrania są przeważnie wąskie i fantazyjnie w górę skierowane. Na pierwszy plan wybijają się znowu francuskie fantazye kogucie, które umieszcza się albo z przodu w środku, albo z tyłu jako stojące przybranie. Kwiatów na razie używa się bardzo mało. Przyjdą one, kiedy słońce już na dobre zaświeci i kiedy wiosna rozwinie się w całej pełni. Tu i owdzie spotyka się główki z kwiatów, lecz i wtedy uzupełnienie przybrania stanowią fantazyjne skrzydła. *En vogue* są kwiaty w kolorze miedzi oraz liście w nieprawdopodobnych barwach *vert empire*, albo też liliowe.

Chętnie dosyć używa się do przybrania kapeluszy wstążek. Nowy sezon przyniósł ciekawe ich odmiany, mianowicie wstążki jednokolorowe z brzegami dosyć szerokimi w innym kolorze. Tak n. p. wstążka niebieska ma brzeg czarny, purpurowa brzeg zielony i t. p.

Przybiera się także kapelusze jedwabiem i to w ten sposób, że brzegi obszywa się taftą, a główkę



Kostyum z żakietem w formie ruskiej bluzki z paskiem.

przybiera fantazyą. Zauważyć jeszcze należy, że nowe modne kapelusze mają wszystkie wielkie główki, wobec czego głęboko na czoło będą noszone.

W.

MICHAŁ MORPHY.

TAJEMNICA POGROMCZYNI.

Powieść z francuskiego.

2

— Bierze się zajęcie pierwsze lepsze.

— A jeżeli nic niema pod ręką?

— Szuka się.

— A jeżeli się nie znajduje?

Buržuj, spostrzegłszy z obrotu rozmowy, że nie grozi mu utrata życia, nabrał pewności siebie. Monte-Leon stał na uboczu, zażenowany.

— Mój panie — ozwał się wuj do Carboniery — kto chce tylko, ten pracę zawsze znajdzie.

— To fałsz!

— Czy aby macie jakie mieszkanie?

— Ale gdzież tam!

— No, to po prostu włóczęgostwo!

— Zupełna racya, cny Auguście!

— Naprzód, mój panie, nie nazywam się August i z przykrością muszę panu powiedzieć, że gdy się nie ma mieszkania...

— To siedzi się w domu, co?

— Ach! Gdybyście byli moimi synami, to jabym was zapędził do pracy.

— Zapędziłbyś pan nas, czyżby?

— Tak, powtarzam!

Carboniera ujął go za ramię.

— Puść mnie pan, cóż to znowu! — zaprotestował buržuj, zmięszany śmiałością tego Herkulesa o dzikiem spojrzeniu.

I jął rozglądać się o pomoc.

— Ani jednego policyanta, jak na złość! - rzekł Carboniera. — Nie przewracaj pan tak ślepiami, bo to napróżno.

— Czego pan chcesz odemnie?

— Czego chcę od pana? Mówiłeś pan, żebyś nas zapędził do pracy. Ocóż, ani ja, ani mój przyjaciel nie opuścimy pana.

I chwycił za rękę zgorszonego opiekuna.

— Przedstawiam panu pana Monte-Leona, jednego z naszych rzeźbiarzy przyszłości. Tymczasem, jest to rysownik do rozporządzenia. Czy pan nie potrzebuje na nauczyciela rysunków dla... dla pani? No, mówże, stary Filistynie!

Pasażer zrobił gest zgrozy.

Siostrzenica przyglądała się Monte-Leonowi z zaciekawieniem.

Carboniera badał dalej:

— Nie masz pan nic do rysowania? Może coś na meblach, na zegarze ściennym, może na porcelanie starej, co?... A może portret własny... Panie, to byłoby do oglądania...

— Mam własny portret, wykonany przez wielkiego malarza z Capecure.

— Capecure?

— Tak jest, w Boulogne-sur-Mer.

— Ach, to pan stamtąd? To dlatego wygląda pan tak czerstwo na twarzy.

— Mój portret, w trzech czwartych naturalnej wielkości, kosztował trzysta franków – dodał z godnością poczciwiec.

— Trzysta franków! Ależ to musi być coś wspaniałego, zważywszy ceny obrazów olejnych. Sto franków za ćwierć wielkości! Mój przyjaciel wykona panu całą twarz za dwa franki.

— Ach, więc rysuje?

— Doskonale.

— A czy mógłby rysować wzory na materye?

— Sięga talentem aż do takich granic. Więc pan dobrodziej prowadzi ten artykuł?

— Jestem fabrykantem: Vernier & Co.

Carboniera wypuścił rękę przemysłowca z szacunkiem, wyśmienicie udanym.

— Jeden z najlepszych domów handlowych — oświadczył z efronteryą. — W materyałach damskich nie znam firmy lepszej.

Poczem dodał po chwili:

— A więc zgoda, mój przyjaciel otrzymuje miejsce rysownika u pana dobrodzieja?

Wujaszek spojrzał na siostrzenicę, nie wiedzącą, co począć i już gotów był czmychnąć.

Panienka jednak znała czułą stronę wujaszka.

— Robiłby tanio wujowi - rzekła.

On zaś, prawie, że na głos:

- Ja myślę, że nie rościłby sobie wielkich pretensyi, zwłaszcza od swego dobroczyńcy.

Monte-Leon był wręcz oszołomiony nieprawdopodobnym kierunkiem, jaki przybrała ta sprawa.

— Czy pański przyjaciel jest niemową? — zapytał pan Vernier Carbonierę.

— Ależ bynajmniej, tylko czuje się skrępowanym aż do lękliwości. Co zaś do pańskiego sługi...

— Niepodobni jesteście panowie do siebie pod tym względem.

— Tak pan sądzi?

— O, wcale niepodobni.

— Ach!

— Otóż, jeśli on chce pracować, może mi przysłać próbki swojej roboty. Proszę, oto nowy deseń. Jeżeli go potrafi skopiować i dostarczy referencyi, to go wezmę do Boulogne-sur-Mer.

— A mnie?

— Pana?

— Tak, mnie. Ja bo mam także talent jako literat.

— Literat?

— To znaczy powieściopisarz, przy okazyi nawet poeta...

Pan Vernier pokręcił głową.

— Kto ma takie bary, jak pan, to powinien być raczej siłaczem jarmarcznym lub tragarzem do przeprowadzek.

Carboniera pomyślał chwilę.

- A wie pan, to idea! Do przeprowadzek? Ja, co tak kocham się w cackach i drobiazgach, miałbym rozkoszne chwile.

Fabrykant postąpił parę kroków z siostrzenicą.

— Możesz mi pan przysłać swoje rysunki do końca tego tygodnia na ulicę Lafayetta, hotel des Etrangers. A dołącz pan swój adres.

— Hm! To będzie trudno — pomyślał Carboniera.

— Owszem, panie – rzekł Monte-Leon.

Były to jego pierwsze słowa od chwili spotkania.

Gdy się znaleźli sami na ulicy, obaj przyjaciele jęli się patrzeć wzajem na siebie w milczeniu, poczem Carboniera buchnął serdecznym śmiechem.

— Zdaje się, że skutek — zaczął — masz przyszłość zapewnioną.

— Ja, przyszłość?

— Ależ tak, biedaku. Jedziesz do Bolonii. Dostajesz na razie conajmniej sto franków miesięcznie.

— Możliwe, a potem?

— A potem, dalszy ciąg wynika sam ze siebie. Zaznajomiwszy się z siostrzeniczką, kochasz ją, ona ciebie kocha i żenicie się! Szczęśliwiec, niech cię licho! Gdy pomyślę o losie, jaki cię czeka, ubolewam nieco nad dolą przeprowadzacza. Ale ty mnie wydobędziesz stamtąd.

— Kpiasz z ciebie, ale tymczasem nie mamy ani centyma.

— Ach! gdyby za powieść dało się co zdobyć! Ale gdzie tu szukać wydawcy! Ani na pokazanie!

— Czy ty aby masz co wykończonego, mój drogi?

— Mam, studyum poetyczne, noszące tytuł: „Melodya serca“. Wiesz przecie, że bywam sentymentalny, jak szkapa czyszczona zgrzebłem, gdy mnie to chwyci.

Mont-Leon pomyślał chwilę.

— Czy bardzo cenisz te swoje „Melodye serca“.

— Jak źrenicę w oku.

— Do licha! Więc gdyby ci zaproponowano sprzedać je pewnemu rabusiowi literackiemu, któryby je wydrukował przez jedną z agencyi...

Przyjąłbym, mój drogi, ale trzebaby to opracować. Piętnaście franków warte, jak jeden grosz!

— Przypuszczam, że dostaniesz więcej, ale trzeba zrezygnować z miłości własnej.

— Rezygnuję.

— Udajże się więc do niejakiego Z*** i ofiaruj mu swoje „Melodye“.

— Ależ to znany pisarz. Czy jesteś pewny, że on to robi?

— Jaknajpewniejszy. Sam mu już sprzedałem małą rozprawkę o rzeźbie.

— Ach, więc to dlatego on pisze tak niewyraźnie o wszystkiem. Otóż to erudyta i artysta, który mi się nieskończenie podoba.

— Dobrze więc. Ruszajże natychmiast do jego biura.

— Ileż mam zażądać?

— Pięćset franków... Może ci da z pięćdziesiąt.

— Daj mi adres tego współczesnego korsarza.

Monte-Leon wydobył z kieszeni bilet i wręczył go Carbonierze.

— Czekaj na mnie w kościele Saint-Germain-des-Pres i grzej się. Idę i wracam.

— Gdzież twój manuskrypt?

— W naszem starem mieszkaniu. Chyba, że gospodyni zużyła go na papiloty... lub gorzej. Bo te kartki to dyablo tentnujące!

I Carboniera puścił się w drogę.

ROZDZIAŁ II.

Uśmiech fortuny!

Korsarz, o którym mówił Monte-Leon, mieszkał na Montmartrze. Była to znakomitość literacka. Mówiono o nim: „Ten Z*** to zdolna bestya, pisze o wszystkiem“! Pisać umiał, ale odpowiedzi na pytania czytelników zmuszony był, jak mawiał, zostawiać swoim młodszym kolegom.

Carboniera został natychmiast przyjęty, pomimo złego wyglądu. Oświadczył, że pragnąłby ujrzeć w druku swój utwór „w jakikolwiek bądź sposób“, byle był drukowany. Z*** przejrzał robotę, przyczem robił głośne uwagi:

— Styl jest, są i zalety, ale za dużo młodości, niedoświadczenia. Właśnie przygotowuję coś na ten temat... Kto wie! Może będę mógł to zużytkować do uwag. Czy pan czego nie potrzebuje, kochany koleżko, w zamian drobnej przysługi? Gdybym mógł panu służyć czemkolwiek...

— Ja bo liczyłem na pięćset franków za to studyum — odparł Carboniera, nie posiadając się z radości.

— To pięć razy za dużo — rzekł Z*** — podając mu życzliwie bilet stu frankowy.

. . . .

Gdy młody człowiek znalazł się na bruku Paryża z taką sumą w ręku, radość o mało nie pozbawiła go zmysłów. Nędza zgasiła w nim uczucie literackiego ojcowstwa. A zresztą, wmawiał w siebie, że stanie się prawdopodobnie pisarzem przyszłości, skoro taki Z*** dał mu sto franków za powieść poetyczną.

Jął się przyglądać sklepom z satysfakcyą człowieka, który ma grosz w kieszeni. Była chwila, że miał chęć wstąpienia do masarza, gdzie z okien nęciły wspaniałe pasztety. Ale poskromił chętkę.

— Nie — rzekł — tak nie byłoby dobrze. Musimy festyn odbyć razem, we dwóch.

I wziął nogi za pas. Doszedłszy do kościoła Saint-Germain-des-Prés, spostrzegł Monte-Leona, niespokojnie chodzącego tam i z powrotem.

— Sto franków! — zawołał Carboniera bez re-

spektu dla dewotek, które odwracały się z oburzeniem — tak, „Melodye Serca“ są sprzedane. Przyjaciele wybiegli z kościoła.

— Jakto! — zawołał Monte-Leon: — Dał ci sto franków?

Carboniera wyciągnął bilet stu frankowy i potrząsł z tryumfem w powietrzu. Jakiś przechodzący policyant zmierzył go podejrzliwym wzrokiem.

— Jeszcze nas zaaresztują przez twoje wybuchy — rzekł doń Monte-Leon.

— O, co to, to nie teraz!

Monte-Leon trącił w bok przyjaciela.

— Już nie chcesz być aresztowany?

— Nie i po tysiąc razy nie!

— Potomność wspominałaby o nas, mówiłeś do mnie tej nocy.

— Chyba kozę miałem na myśli.

— A lud?

— Dajże mi spokój. Lud najspokojniej w świecie zaciągałby się fajką. — Poczem dodał z energią:

— Trzeba co zjeść!

— To wielkie słowo.

— Ja dysponuję: dwa pasztety z szynką i litr wina.

— Brawo! Niech żyje lombard literacki!

— Tak — potwierdził Carboniera — ale lombard, z którego się nic nie wykupuje.

Przyjaciele kupili wymarzony pasztet i zasiedli w jednym z handelków wina.

— Nie trzeba za dużo jeść odrazu – mówił Carboniera. — Zato wieczorem...

Po zadatkowaniu w ten sposób żołądków, pomyśleli o zapewnieniu sobie dachu nad głową.

Wrócili do dawnego *garni* i wynajęli pokoik na miesiąc.

— Widzę — rzekła gospodyni do Carboniery — żem dobrze zrobiła, zachowawszy pańskie papiery.

— Niezawodnie!

— Wyobraźcie sobie, panowie, że mój najmłodszy już chciał sobie porobić czółenka z tych kartek.

— A, zbrodnia! Robota, za którą zapłacono sto franków!

— Aż tyle? — zawołała gospodyni zdumiona.

— Święcie na honor! To wypada akurat po pół centyma za wiersz.

— A czy pan długo pracowałeś nad tem pisaniem?

— Dwa czy trzy lata.

— Koniec końcem, złoty interes — zakonkludował Monte-Leon, pociągając za sobą przyjaciela.

Teraz udali się do Temple, na tandetę, gdzie za czterdzieści franków obaj ubrali się zbytkownie od stóp do głów. Było to kompletne przeistoczenie.

Nadeszła godzina wieczerzy. Spostrzegli restauracyę z jadłospisem za franka dziesięć cent., który zapowiadał ucztę bajeczną: Pół butelki wina, zupa, mięso, ryba i deser. Nadomiar wszystkiego uwagę ponętna, wypisana wielkiemi głoskami:

„Chleb się nie liczy!
Woda selcerska darmo!
Kartofle z oliwą, ile kto spożyje!“

Nasi znajomi wpadli raczej, niż weszli do tak pełnej pokus jadłodajni. Za kontuarem siedziała jak na tronie gospodyni zakładu. Gospodarz spokojny i uśmiechnięty, przechadzał się wzdłuż stołów. Wśród gości znajdowali się tego wieczoru ludzie o małych tylko apetytach, więc twarz miał coraz pogodniejszą. Nagle wejście dwóch zgłodniałych zmarszczyło mu godne czoło. Jął ich egzaminować z uwagą.

— Dwa rosoły z makaronem na gęsto — zażądali przybyli.

Był to zły znak. Patron przestał się uśmiechać. Nagle zrobił wielkie oczy. W oczekiwaniu na zupę, klienci jęli pochłaniać świeży chleb w olbrzymich kęsach.

— Podajcież prędzej tę zupę — rozkazał z przestrachem.

Carboniera, czuły na grzeczność, skinął mu głową przyjaźnie i pochłaniał w dalszym ciągu kolosalne kawały chleba. Monte-Leon ze swej strony robił mu uczciwą konkurencyę. Nareszcie zupa została podaną. Po kilku zaczerpnięciach łyżką, nie było jej śladu.

— Garson, nie mamy chleba — rzekł Carboniera.

Gospodarz zadrżał ze zgrozy. Ale usługujący, najniewinniej w świecie, nie bacząc na irytacyę w oczach szefa, przekrajał na dwie części chleb czterofuntowy i położył oba kawały na stole. Carboniera dał jeden z nich przyjacielowi.

— Masz, to twoje — rzekł. — Ja sobie ten biorę, dopóki nie dadzą więcej. I dodał, biorąc jadłospis do ręki:

— A teraz zadysponujmy jadło.

Jęli badać wartość pożywną różnych potraw. I rozmawiając, masakrowali w okrutny sposób swoje pół chleby.

Ciąg dalszy nastąpi.

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

Ułożył Cz. Kozłowski, Warszawa.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, poda imię i nazwisko polskiego poety.

```
                □
            — □ —
        — — □ — —
    — — — □ — — —
— — — — □ — — — —
— — — — — □ — — — — —
— — — — □ — — — —
    — — — □ — — —
        — — □ — —
            — □ —
                □
```

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Daleki krewny. 3. Filozof angielski. 4. Dawna moneta. 5. Bohaterka poematu Słowackiego. 6. Miasto w Finlandyi. 7. Imię żeńskie 8. Rodzaj głosu. 9. Księstwo niemieckie. 10. Tytuł turecki. 11. Spółgłoska.

W sądzie.

Szarada, ułożona przez W. Rapacza, Bolęcin

...Jesteś oskarżon i Łucya Starka,
Żeście Niezgułę wczoraj *drugie-trzecie,*
A potem futro zdarli... Ładna parka!
Czy się do winy waszej przyznajecie?
— To ci kabała dosyć będzie długa,
Lecz udowodnię *szósta-trzecia-druga*
Mej narzeczonej! Wstąpiłem na blachę
Do Rosendufta, a szedłem „de pache“
Z nią...
— O tem potem! Świadkowie zeznali
Całkiem inaczej, a więc nie jesteście
Tak *druga-szósta-trzecia...* całkiem biali
Jako *podwójna trzecia z szóstą!* W mieście
W dzień biały, zgrozo, bylibyście *czwarta* —
Druga i trzecia człeka niewinnego!
Więc wam oznajmia księgi ustaw karta:
Na *pierwszej piątej* paragrafu tego
Jazda do ula, na cztery miesiące!
Areszt wam śledczy łaskawie potrącę,
A, gdyby *całość* była rozpisana,
To cię wypuszczą, a zostanie „brzana“.

Bilety wizytowe.

Ułożył Cz. Kozłowski, Warszawa.

Litery na biletach w ten sposób poprzestawiać, aby utworzyły zajęcie lub godność poszczególnych osobników.

ANTONI M. PYSYMKO
Sicz

CHIL ZANZUL
Dryna

JIM STORONIN
Kiel

Zagadka.

Ułożył L. Sewiłło, Podgórze.

Wprost szumię i gwarzę,
Wspak pracować każę.

Łamigłówka.

Ułożył Wł. Bogusz, Zabierzów.

Uzupełnić poniżej umieszczone wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane w obu rzędach z góry na dół, podadzą nam ważne zdarzenie polityczne z dni ostatnich.

A — i — ns
S — e — na
A — e — li
W — k — py
K — c — na
C — l — by
B — r — ia
C — r — my

Łamigłówka literacka.

Ułożył J. Szymanek, Nowy Sącz.

Znaleźć utwory poniżej wyszczególnionych pisarzy. Początkowe ich głoski, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko polskiego króla-bohatera.

Syrokomla.
Tołstoj.
Krasiński.
Kraszewski.
Sofokles.
Sokołowska.
Syrokomla.
Konopnicka.

REBUS.



Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Jana Kasprowicza:* **Poeci angielscy.** Wybór pism.

Zygmunt Ślimakowski

Kraków, Rynek Linia A-B róg ul. św. Jana

Przybrania do sukien, **bluzy, halki, pończochy,** żaboty, kołnierze, pióra, i boa strusie, koronki, wstążki. rękawiczki i t. p.

Magazyn Nowości dla Pań!

Najelegantsze ubrania

męskie i z najlepszych materyałów angielskich i krajowych, w cenach najprzystępniejszych, można zamawiać tylko u firmy

M. CZAJA i W. RECHOWICZ, Kraków, ul. Mikołajska 24.

Panie Gospodynie! Baczność!

Nie kupujcie żadnego masła ani nic podobnego dopóki nie skosztujecie sławnej ogólnie wypróbowanej, światowej marki

BLAIMSCHEINA „UNIKUM“ MARGARYNY

„UNIKUM“ nie jest żadnym tłuszczem roślinnym.

„UNIKUM“ jest z najczystszego i najlepszego tłuszczu zwierzęcego z domieszką śmietany pasteuryzowanej i dlatego posiada **największą wartość pożywną** i jest rzeczywiście zdrowy.

„UNIKUM“ nie jest produktem sztucznym, tylko **czystym naturalnym.**

„UNIKUM“ jest o **50%** **tańszy** i o wiele wydatniejszy od masła.

TYLKO UNIKUM BLAIMSCHEINA jest tym jedynym i prawdziwym środkiem mogącym służyć zamiast masła, który **wszystkie dotąd** inne zachwalane środki **przewyższa.**

Wyrób **„UNIKUM“ BLAIMSCHEINA** jest przez stałą państwową kontrolę chroniony, co na każdym pakiecie jest uwidocznione.

Szanowne Gospodynie!

Nie dajcie się przez inne namowy **w błąd wprowadzić** i używajcie zamiast masła przy

smażeniu
pieczeniu
gotowaniu
jako **dodatek do chleba**

wyłącznie

BLAIMSCHEINA „UNIKUM“ MARGARYNY

Wszędzie do nabycia! Próbki darmo i opłatnie!

VEREINIGTE MARGARINE- UND BUTTERFABRIKEN, WIEN XIV.

Wielkanoc będzie tego roku już w marcu!

Proszę więc zamówić wzory materyałów na nowe ubrania raczej już teraz u firmy

Prokop Skorkovs y i syn wywozowy dom sukna i modnych materyałów dla panów i pań **w Humpolcu, (Czechy).**

Na życzenie załatwimy także uszycie ubrania dla panów.



Jasna głowa używa tylko **Dr. OETKERA proszku ciastowego po 12 hal.**

Najlepszy, najzdrowszy, przez lekarzy polecany zamiast drożdży.
5
Wszystkie **leguminy i pieczywa** zwiększają się, pulchnieją i stają się łatwiej strawnemi.

Dr. Oetkera cukier waniliowy po 12 hal.

jako najszlachetniejsza domieszka do mlecznych i mącznych legumin. do kakao, herbaty, czekolady, kremu, babek, tortów, puddingów i pianek. Mieszany z miałkim cukrem, do posypywania legumin. Zastępuje w zupełności 2—3 łyżeczek dobrej wanilii. Miesza się $^1/_2$ paczki **dr. Oetkera cukru waniliowego** z klg. miałkiego cukru i dodaje do tego 1-2 łyżeczek do pełnej szklanki herbaty i tak otrzymuje się aromatyczny, smaczny napój.

Dr. Oetkera proszek do pieczenia ciast i cukier waniliowy do nabycia we wszystkich handlach kolonialnych itp. handlach Sposoby użycia na każdym pakiecie. Przepisy użycia darmo.



Codziennie pojawiają się nowe specyalne środki na cerę: są to prawie zawsze szminki. Tylko **Crème Simon** nadaje cerze naturalną świeżość i piękność. Naprzekór wszelkim naśladownictwom jest od 50-ciu lat na całym świecie sprzedawanym. **Puder de riz** i **mydło Simon** dopełniają hygienicznego działania tego kremu. 1

Sztuka zdobycia majątku

Na mnóstwo zapytań o tę niepospolitą książkę odpowiada się, iż ma ona 320 stron i kosztuje sprowadzona od autora z przesyłką K 3·50. Autor, prof. Stefan Górka mieszka w Krakowie, ul. Karmelicka 21 i posyła bezpłatnie każdemu, kto żąda, dokładny opis i treść tej książki.

PODAGRA

reumatyzm, ischias, darcia, kłucia, katar etc. znikają już po krótkiem użyciu, przez znakomitych lekarzy tysiąckrotnie wypróbowanego i polecanego środka

MENFOR

Menfor jest idealnem środkiem do nacierania przeciw zaziębieniu i chorobom wszelkiego rodzaju, w postaci wolnej od tłuszczu, schnącej maści, którą bolące miejsca nacierając, uśmierza ból zadziwiająco szybko. W tubach à K **2·50**, tuba próbna K **1·50**. Zamówienia od 6 tub darmo.

Skład główny: Apteka **„zum Schwan“ Wiedeń I/22 Schottenring 14.**



500 Koron

zapłacę, jeżeli nagniotki Pańskie, brodawki i skórę zrogowaciałą nie usunie w 3-ech dniach mój niszczyciel korzeni **„Riasalbe“**. Cena 1 słoiczka wraz z listem gwaranc. 1 korona Kemeny'ego **„Ideal“** woda do ust usuwa ból zębów, nieprzyjemny zapach ust i skutecznie zapobiega psuciu się zębów. 1 flaszka K 1·50.

Kemény, Kaschau I. Postfach 12/54 (Węgry).

Najlepsze czeskie źródło!



TANIE PIERZE

1 klg. szarego, dartego kor. 2, lepszego gat. K 2·40, najlep. gat. sawpół białego K 2·80, białego puchowego K 5·10, 1 klg. śnieżnobiałego dartego w najl. jakości K 6·40, K 8, 1 klg. szarego pucha K 6 7, białego K 10, najl. puchu brzusznego K 12.

Przy odbiorze od 5 klg. wysyłka franko.

Gotowe pierzyny z gruboniciannego czerwonego, niebieskiego, białego lub żółtego inletu (Nanking), 1 pierzyna 180 cm. dług. 120 cm. szer. z dwoma poduszkami każda 80 cm. dług. 60 cm. szer., dostatecznie wypchane nowem, szarem, czyszczonem, jędrnem i trwałem pierzem K 16, półpuchem K 20, puchem K 24, sama pierzyna K 10, 12, 14 16, poduszka K 3·—, 3·50, 4·—, pierzyny o 200 cm. dług. 140 cm. szer. K 13, 14·70, 17·80, 21, poduszki 90 cm. dług. 70 cm. szerok. K 4·50, 5·20, 5·70. Podściółki z mocnego gradlu 180 cm. dług. 116 cm. szer. K 12·80. 14·80. — Wysyłka za zaliczką, od 12 kor. z bezpłatnem opakowaniem. — Zamiana dozwolona, za nienadające się zwracamy pieniądze. — **Dokładne cenniki darmo i opłacone.**

S. Benisch w Deschenitz Nr. 757 (Czechy).

50.000 płyt do grania



po masie konkursowej. 25 i 27 cm. wielkie, z twardej gumy, pod gwarancyą nowe, grające z obu stron, najlepszy wyrób o normalnej cenie K 4·— i 6·— sprzedajemy po **90 halerzy** za płytę. Także dla odsprzedawców w większych ilościach. Zamiana na korzystnych warunkach Wszelkie naprawy punktualnie i tanio.

Największy skład płyt i gramofonów Wiedeń, VII Burggasse 122 a.

Proszę uważać na adres i sprowadzać towary tylko od firm uczciwych, które nie wykorzystują odbiorców i za tani pieniądz dają dobry towar. 2

LALKI

Zabawki, Konie na biegunach, Gry towarzyskie

poleca w wielkim wyborze

C. SZCZURKOWSKI W KRAKOWIE

ul. Grodzka 2

Rocznie przeszło 10 milionów Koron wydajemy na świece stearynowe wyrobu ZAGRANICZNEGO.

PALĄ SIĘ RÓWNO OSZCZĘDNIE nie kopcą.

KRAKOWSKA FABRYKA MYDŁA

C. ŚMIECHOWSKI

Spółka z ogran. odpow. w Krakowie.

NAJZNAKOMITSZY WYRÓB KRAJOWY.

ŚMIECHOWSKI

MARKA OCHRONNA.

„SZATNIA“ spółka z ogran. odpow. **w Krakowie, ul. Sławkowska 14**

POLECA

Na sezon jesienny i zimowy

obficie zaopatrzony skład ubrań męzkich.

Wszelkie zamówienia wykonuje się według ostatniej mody szybko i wytwornie.

Specyalność: Ubrania sportowe!

Ceny nader niskie!

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Wacław Lipiński. Kliszes własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.